№ 26. Warszawa, dnia 17 (29) Czerwca 1878 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

PRZESILENIE.

KOMEDYA W CZTERECH AKTACH

przez Oktawa **Feuillet'a.**

przełożona z francuzkiego

przez Franciszkę Majewską.

OSOBY:

De Marsan, urzędnik sądowy lat 40.
Julia jego żona.
Piotr Dessoles doktór lat 38.
Justyna pokojowa.
Antoni, stary sługa lat 60 przeszło.
Dwoje dzieci od czterech do sześciu lat.

(Rzecz dzieje się w pierwszym akcie w Paryżu, w następnych zaś trzech na wsi).

AKT PIERWSZY.

Bogato urządzony gabinet do pracy, biórko w pośrodku, kominek po lewej stronie, szafa z książkami w głębi, drzwi po obu stronach szafy, stół i fotel przy ścianie i drzwi po prawej stronie.

SCENA I.

De Marsan, Antoni.

(De Marsan siedzi przed kominkiem i przewraca na niem w zamyśleniu, Antoni zlekka miotełką z piór otrzepuje książki).

De Marsan (obracając się nagle). Co? ty jeszcze tutaj?

Antoni (głosem przytłumionym i powolnym). Tak panie, kończę sprzątać pokój pana.

De Marsan. Kończysz!... kończysz; to znaczy że nigdy chyba nie skończysz!

Antoni (zdziwiony). Czy pan czasem nie chory?

De Marsan. Ależ nie. Czy nie wiesz gdzie jest pani?

Antoni. Zdaje mi się iż pani gdzieś się wybiera, gdyż kazała zaprzęgać.

De Marsan. Wyjeżdżać! zaprzęgać! przed południem! to szczególne. (Antoni powraca do swego zajęcia, de Marsan powstaje i patrzy na niego z niecierpliwością). Widocznie iż bardzo cię bawi to twoje zajęcie? Już od dwudziestu minut jesteś tutaj i po co? Daj to lepiej mnie (wyrywa mu miotełkę z rąk i sam otrzepuje kilka sprzętów, następnie powraca do kominka, Antoni przez ten czas ściga go wzrokiem i prosi giestem o oddanie miotełki). A cóż, czy bardzo trudno? (Oddaje mu miotełkę). Odejdź więc teraz!

Antoni Bardzo mnie to martwi iż pan niekontent z moich usług i to pierwszy raz, jak służę panu, od lat trzydziestu z wiernością i uczciwie.

De Marsan. Wszak widzisz iż jestem w złym humorze, zostaw mnie więc w spokoju!

Antoni. Dobrze panie! (Oddalając się). Z wiernością i uczciwie mogę to śmiało powiedzieć (wychodzi na prawą stronę, za chwilę uchylając drzwi). Czy pan przyjmuje?

De Marsan (z niecierpliwością). Wszak wiesz że nie. Lecz któż to taki?

Antoni. Pan Piotr Dessoles. Zaraz go przeproszę.

De Marsan. O! niedołęgo, wszak ja na niego czekam. Proś go! (Antoni wychodzi). I niechże mi kto zachwala stare sługi. Ot, jeszcze jedna pozostałość z dawnych czasów których tak żałują Bóg wie dla czego!

Antoni (po prawej stronie oznajmia), Pan Piotr Dessoles.

SCENA II.

De Marsan i Dessoles.

Dessoles. Dzień dobry prezesie!... Jestem na twe rozkazy... Przybywam z Piepus... Cóż tam nowego... co się stało? Zobaczmy język, puls... ale ty widzę zdrów jesteś jak ryba. Do widzenia więc!...

De Marsan. Kochany przyjacielu mam się poradzić, lecz nie o siebie.

Dessoles. Więc o panią może?

De Marsan (smutnie idąc w głąb sceny). Tak o moją żonę...

Dessoles. O twoją żonę?... (z westchnieniem) i cóż tam tej pięknej kobiecie? Wszak onegdaj widziałem ją na operze, różowa, biała, świeża, ramiona okrągłe!... Ależ pańska żona ma się wybornie... tak jak i ja w tej chwili — więc do widzenia prezesie!

De Marsan. Piotrze, w imię naszej dawnej przyjaźni, dwa słowa poważnie!... Żona moja mnie niepokoi!...

Dessoles. Do kroćset! ona i innych niepokoi! Czy ją znajdujesz za ładną? Rzeczywiście tak jest, lecz ja na to nic nie poradzę. Tak! tak! mój przyjacielu! Żadna żona to dobre na rok, na dwa... lecz w trzecim cóż cię może obchodzić ta piękność uwielbiana i chwalona dokoła od tak dawna. Wtedy jest to tylko zbytek niepotrzebny, szyld niebezpieczny, którego piękna strona zwrócona do ulicy, mąż zaś widzi tylko jego stronę odwrotną! Tak więc cóż ci mam poradzić?

De Marsan (biorąc krzesło od stołu i podając go Piotrowi). Posłuchaj mnie. Poważnej twej rady żądam. Słuchaj! (siada po prawej stronie).

Dessoles. A więc zobaczmy!

De Marsan. Od trzech blizko miesięcy, moja żona ma apetyt znakomity, puls regularny, cerę zdrową... system nerwowy spokojny, słowem nigdy nie cieszyła się lepszym stanem zdrowia...

Dessoles. Ależ mnie rozczulasz! Kończ więc!

De Marsan. Z tem wszystkiem, mój przyjacielu, moja żona, którą niegdyś nazywałem moją najdroższą Julią, mocno mnie niepokoi. Gdybym nie znał jej rysów, jej głosu, myślałbym iż mi ją kto porwał i zamienił na jakieś stworzenie nieznośne i niepojęte.

Dessoles. Tak się rzeczy mają? Więc zostaję! Czyby to było nowe wcielenie szatana w kobietę, albo tajemnicza jakaś rana sercowa? Toć to jest moja specyalność mój drogi!

De Marsan. Wiem o tem, iż ty stosujesz medycynę na swój sposób... jakby to nazwać... w sposób spirytualistyczny.

Dessoles. Cóż chcesz mój drogi! Mam z natury zbyt drażliwe sumienie... Pierwszy raz, gdym przyszedł odwiedzić jednego z moich chorych, znalazłem go na marach. Zdawało mi się wówczas iż oczy sprawiedliwości są na mnie zwrócone, iż ściągam na siebie wielką odpowiedzialność. Poznałem wtedy iż nie mam powołania do medycyny... Nie chcąc też tak jak wielu innych młodych medyków, zostawiać po sobie w rodzinach ślady wielkich omyłek lub grobów, przestałem moją wątpliwą naukę przelewać w organizmy mych bliźnich i zacząłem więcej posiłkować się wielkim wpływem natury. Stałem się zatem lekarzem wyczekującym, badającym stronę moralną mych chorych... I czy wiesz com tam dostrzegł? Iż najwięcej powodem wszelkich chorób, są troski, występki, słowem wszelka nędza społeczna. Starałem się przeto odtąd niszczyć w zarodzie choroby, przeciw którym mój dyplom nie dawał mi środków. Oto mój system: Nie mogąc uleczać, pocieszam, spotykam wprawdzie niewdzięcznych, lecz nie robię ludzi męczennikami...

De Marsan. Wiem o tem Chociaż cię widuję rzadko, nie tracę cię jednak z oczu. Znam twoją wziętość — wszak jesteś ulubionym czcicielem wszystkich ładnych kobiet paryzkich i dla tego też wezwałem cię. Potrzebne mi albowiem całe twoje doświadczenie i cała twoja życzliwość. Piotrze, jestem rzeczywiście nieszczęśliwy!

Dessoles. A więc zobaczmy co jest twej żonie, może jej mopsik zdechł!

De Marsan. Mój drogi, ona opętana widocznie przez złego ducha, któremu na imię legion. Gdyż tych złych duchów jest w niej prędzej dziesięć tysięcy niż jeden.

Dessoles (gryząc laskę). Jakież symptomata?

De Marsan. Jak dotąd nie tak wydatne, ażeby każdego obcego zaraz uderzyły; lecz zdradzają się przed wzrokiem tak bacznym jak mój, przez rozmaite odcienia w postępowaniu — coraz wyraźniejsze... Wszak znasz Julią?

Dessoles. Znam ją jako ozdobę kółka rodzinnego, jako piękną kobietę, pełną godności, umysłu wyższego, uczuć macierzyńskich wzorowych. Taką jest twa żona!

De Marsan (powstając). Rzeczywiście taką była! Przez lat dziesięć mogę powiedzieć posiadałem rzeczywisty skarb. Lecz naraz ta słodka Julia, którą tak znakomicie przedstawiasz, przybrała niewiadomo zkąd postać jakiejś nieszczęśliwej ofiary, posłusznej wprawdzie lecz rozdrażnionej. Ta z wyższego świata pełna gustu kobieta, nauczyła się formułek pełnych goryczy, zdań tchnących cierpkością. Z przestrachem w jej mowie dostrzegłem jakiś odcien bezcelowej melancholii, jakiś nastrój poetyczno-socyalistyczny...

Dessoles. Żona sądownika!... to zgroza!...

De Marsan. Czasem zaś staje się naiwną i dziecinną. Są to rysy naiwności niestosownej, pytania pochodzące z ciekawości niewłaściwej, czasem znów używa wyrazów wziętych ze słownika przekupek.

Dessoles. Czy może być!

De Marsan. Nie dalej jak wczoraj, ta kobieta której tak wychwalałeś sposób wysłowienia się, nazwała mój ekwipaż taradajką!...

Dessoles. Taradajką! Rzecz niepojęta!... Czy to już wszystko!...

De Marsan. Nie jeszcze. Nie tylko żona ale i matka się przeistoczyła: mąż dla niej jest tyranem, dzieci ciężarem. Nie mówi o nich i nie zajmuje się niemi. Widzisz, na co mi przyszło doktorze; widzisz, jaką koroną cierniową, moja Julia, mą niewinną głowę przystroiła i to bez najmniejszego przewinienia z mej strony. Czy rozumiesz co to wszystko znaczy?...

Dessoles. Może być!... W wieku twej żony!...

De Marsan. Między trzydziestym trzecim i czwartym. Lecz cicho!... Zdaje mi się iż nadchodzi... Sam osądzisz, ja zaś będę ci dawał znaki za każdym symptomem. (Dessoles siada przy biórku i udaje zajętego pisaniem, De Marsan podchodzi w głąb po prawej stronie).

SCENA III.

Dessoles, De Marsan, Julia (ubrana do wyjścia).

Julia (uchylając drzwi z prawej strony). Ah! masz gości?

Dessoles (powstaje do połowy i kłania się). Nie pani.. to ja tylko! Mocno przepraszam; miałem dwa słowa do napisania, wszedłem więc bez ceremonii. Poczciwy de Marsan pozwala mi swego biórka, czy i pani zezwala?

Julia (przed doktorem). Ależ z przyjemnością!... Lecz jak rzadkim jesteś gościem doktorze. Czy nie z drugiego świata powracasz?

Dessoles (do niej zwrócony lecz przy biórku). Chciej mi pani wybaczyć, gdyż z powołania mojego stanowiska, winienem swój czas poświęcać wyłącznie cierpiącym.

Julia (z goryczą podchodząc ku lewej stronie). Tak! cierpiącym... my zaś mamy rocznego dochodu czterdzieści tysięcy liwrów i zaliczamy się do wybrańców losu...

De Marsan (patrząc na Dessol'a znacząco). Hm! hm!..

Dessoles. Tak!... pani, czytałem gdzieś w starożytnych pisarzach, że majątek nie stanowi szczęścia, ale to zdanie w naszych czasach uległo zmianie... Za pozwoleniem (siada i znów zaczyna pisać zapamiętale).

De Marsan. Cóż ty duszko w kapeluszu? Czy wychodzisz gdzie tak rano?

Julia. Zdaje się. Lecz czy ty jesteś lunatykiem w dodatku do innych ujmujących przymiotów.

De Marsan. Lunatykiem? A to dla czego?

Julia. Dla tego iż całą noc słyszałam nieustający odgłos kroków w twym pokoju. Zupełnie jakby w jakim maneżu.

De Marsan. Ah! tak, nie mogłem spać więc się trochę przechadzałem.

Julia. Trochę!... Ależ to trwało trzy godziny! Nie mogłeś spać więc uznałeś za stosowne i mnie spać nie pozwolić. Tak, jesteś w swem prawie, po dziesięcioletniem pożyciu nie trzeba się krępować... (podchodzi do lustra nad kominkiem).

Dessoles (nuci jakąś piosnkę). Twój przyjaciel zarówno się nie krępuje, lecz czy ci się to nie podoba, iż wychodzę tak rano?

De Marsan. Bynajmniej! Jeżeli ci to tylko robi przyjemność to i owszem.

Julia. Przyjemność! Jak możesz myśleć iż bawi mnie taka drobnostka, jak odwiedziny lub sprawunek? Jeżeli wychodzę to tylko dla tego iż potrzeba wymaga. Wiem iż tylko mężczyznom jest dozwolone wszelkie zajęcie seryo, ale ja mam także zajęcie... o! mam. A może rozkażesz abym żadnego nie miała.

De Marsan. Ależ bynajmniej!

Julia. Mocno mnie to dziwi, gdyż stajesz się takim fantastykiem.

De Marsan. Ja, fantastykiem?

Julia. A zdaje się że nie ja.

De Marsan. Tak, nie ty bynajmniej — lecz jestem zmuszony przypuszczać że bardzo się nudzisz...

Julia (śmiejąc się gorzko i podchodząc ku biórku). Że się nudzę a to pyszne! Czy słyszysz doktorze? Powiedz że mu iż jestem najszczęśliwszą kobietą pod słońcem.

Dessoles (poważnie). Ależ przeciwnie, ja panią uważam za najnieszczęśliwszą kobietę naszego wieku, przeszłaś nawet męczenników starożytności, Jobów i tym podobnych... Lecz pozwól mi pani dalej pisać.

Julia (wzruszając ramionami). Przyznacie szczerze panowie iż wy nie rozumiecie innego cierpienia oprócz głodu.

Dessoles. Co do mnie przyznaję.

De Marsan. Zapewne moja droga, iż czas wydaje ci się cokolwiek długim (głośniej) a czy wiesz co ci potrzeba do wypełnienia go?

Julia (z ironią podchodząc ku mężowi). Domyślam się, lecz powiedz mi a będzie to bardziej oryginalnie.

De Marsan. Nie o to rzecz idzie bynajmniej, chciałem powiedzieć, iż lepiejby było, gdyby twoja córka, zamiast mieć sześć lat miała sześć miesięcy. Miałabyś wtedy małą żywą lalkę, którąby można było ochraniać w zimie od zimna a w lecie chłodzić wachlarzem od zbytniego gorąca.

Julia. Co to wszystko znaczy? Czy widział kto ażeby w obec obcej osoby tak mnie kompromitować.

Dessoles (z głową pochyloną nad pisaniem). Ja nic zupełnie nie słyszę!...

Julia (przechodząc w lewo). Tak się zdaje.

De Marsan. Nie gniewaj się moja droga, wszakże to tylko żart.

Julia. Żart – lecz wcale niesmaczny!

De Marsan. Niech i tak będzie, hm!...

Dessoles. Hm!...

Julia. Żegnam panów (Dessoles powstaje). Lecz à propos doktorze, czy to ty tak uparcie lornetowałeś mnie onegdaj na operze?

Dessoles. Tak jest pani, ja sam.

Julia. Obok pana była osoba która nie bardzo wydała się zadowoloną z tego. Uderzyła cię nawet za to wachlarzem po ręku. Była to nauczka. Lecz o naszej primadonnie Czaselli co pan myślisz?

Dessoles. Znakomita co się zowie. Czy pani bardzo lubi muzykę?

Julia. O bardzo lubię, zwłaszcza słuchać jej w tej wspaniałej sali, pośród tysiąca świateł w atmosferze kwiatów i strojów. W tem połączeniu jest coś rozkosznie upajającego co mi daje możność wyobrażać sobie marzenia wywołane użyciem opium.

Dessoles (obojętnie). O tak sala jest piękna i dobrze urządzona.

Julia. Widzę iż masz poetyczną duszę doktorze. Żegnam cię (wychodzi).

(d. c. n.)

PIOSNKA O WIOŚNIE.

Witaj wiosno w słońca wianku!
Witaj słońce! co w poranku,
Tak uśmiechasz się radośnie,
Tuląc, pieszcząc świat miłośnie!
Pełno blasku, pełno chwały...
Jakby świat zmartwychwstał cały.
Jedwab łąki, kwiatów pąki
Rumienią się i kraśnieją,
Z kielichów swych wonie leją.
Wszystko w koło się zieleni,
Drga, migocze i promieni...

Już ptaszęta chórem dzwonią,
Po nad lasem, po nad błonią,
I miluchny skowroneczek
Dźwięczy, kwili rój piosneczek.
A pieśń płynie po dolinie...
A i śpiewak z pieśni słynie...
Bo ptaszęca ta muzyka
Wprost do głębi duszy wnika!

A cóż wietrzyk? ba! szeleści,
Listeczkami się popieści,
To milutko jakoś wzdycha
Jakby kwiatkom szemrał ścicha,
O ich barwie, wesołości,
O młodzieńczej ich piękności...
A czarowne pól bogdanki,
Wonne wiodą pogadanki...
Tu różyczka pięknolica,
Zapłoniona jak dziewica,
Jeszcze — jeszcze nie rozwita,
W rąbku listków twarz jej skryta.
A tu motyl róż kochanek
Muska skrzydłem kwiatów wianek —
I do wszystkich się zaleca,
Całując im krasne lica...
Znów przyskoczy, szepnie ścicha,
A różyczka się uśmiecha.

A król orzeł chyżo-pióry,
Już ochoczo rwie się w chmury.
Bo też orzeł, to nie żarty!
Przed nim cały świat otwarty...
Bo też orzeł puszcza skrzydła
Jak rozpięte statku żagle —
I jak sunie w górę nagle...
To dlań wichry — to pieścidła!
Wszystko tchnieniem wiosny dysze...
Wiosna w sercach się kołysze...
Wiosna w kwiatkach się czerwieni...
Wiosna szumi w grze strumieni...
Wiosna jest królową dźwięków...
Wiosna jest skarbnicą wdzięków!...

Wiem co ptaszek dzwoni, śpiewa,
Co chcą fale — co szum drzewa,
I muzyka co się plecie
Harmonijnie we wszechświecie!
Słyszysz!... słowik w niebogłosy
Wraz z jutrzenką — ze łzą rosy —
Tak pobożnie a radośnie,
Dzwoni piosnek rój o wiośnie...
Ot mi piewca! w każdej nucie
Melodyjne tchnie uczucie,
A milutkie — jak kochanie,
Rzewne jako pożegnanie.
Dzwoń słowiku! dzwoń piosneczką,
Dzwoń śpiewaku, dzwoń!
Ja tymczasem cichuteczko
Pomknę myślą w niebios toń...
I wzrok poślę tam wesoły,
Hejże! w pogoń na sokoły!
Jeszcze wyżej myśl skrzydlata
Płynie nad krawędzie świata.

Ot... i zmierzcha się w przestworzu,
Słonko głowę nurza w morzu...
Cicho... ziemia niby śniąca,
Z Niebios gwiazdka jaśniejąca
Błysła... druga oczkiem strzela...
I nad ziemią się rozściela.
Rój tych gwiazdek tak bogaty,
Jak murawa strojna w kwiaty...
I wzdłuż i wszerz po dolinie
Chór wesela już nie płynie...
I ptaszęta już znużone
Na kwiatuszkach śnią uśpione...
Wszystko naraz cichnie, głuchnie,
I snem pieści się miluchnie...

Maksymilian Przedecki.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

— Słuchajcie, odezwał się jeden z chłopców do dwóch swoich rówieśników gapiących się na wirującą karuzelę. Zagrajmy z sobą partyą. Ja siądę na tego konika płowego.

— Ej! lepszy kary, ma łeb śliczny i tak patrzy ognisto.

— Ja wsiądę na jelenia.

— Albo to jeleń, to przecie niedźwiedź.

— Niech tam będzie i niedźwiedź albo koza, to wszystko jedno, byle nie koń.

— A czy masz trojaka?

— Ej! nie mam, ale może mi się jako uda.

— Ale, uda, dobre oni mają oczy.

— Ej! i ja swemi umiem patrzeć, i jak będzie szedł po zapłatę z jednej strony to ja smyrgnę na drugą.

— A jak cię prętem przemierzy?

— Ej! chybszy ja w nogach jak on w pręcie.

— A to probuj.

— A to sprobuję, tylko poczekam aż się zaprzątnie drugimi.

W parę minut chłopiec już siedział na jeleniu, gdy przyszło do zapłaty, oświadczył że nie pojedzie i zeszedł na ziemię. Odbierający poszedł dalej a chłopiec znowu się wdrapał na zwierza którego nazwę trudno było oznaczyć. Właściciel nie dał się podejść, zażądał powtórnie zapłaty, chłopiec zapewnił że ją już złożył i na dowód powołał się na świadectwo swoich przyjaciół. Poborca nie ustępował i ciągle trzymał rękę gotową do przyjęcia należytości. Chłopiec klął duszę i ciało, że mówi prawdę, wreszcie wrzasnął zwracając się ku swym przyjaciołom:

— A toć przecież otwórzcie gęby...

— Poszedł precz! przerwał właściciel, ja ci tu zaraz gębę roztworzę.

Chłopiec zeskoczył z jelenia stanął na boku łając za niepoparcie go w twierdzeniu.

— Żeby nie wy ciemięgi, mówił chłopiec, tobym sprawę wygrał, ale pokażę wam że postawię na swojem.

W tej chwili właściciel dał znak, że zapłata wybrana i karuzel może w bieg ruszyć, sam zaś wszedł do środka gdzie grano na katarynce obliczając wniesioną opłatę. Chłopiec skorzystał z tego, w jednym migu wskoczył na podstawę, potem wdrapał się na jelenia i udając pocztyliona trąbił na ręce w dudkę złożonej. Towarzysze zazdroszcząc powodzenia śmieli się rozmawiając.

— Bestya ten Józek, to taki sprytny że na wszystko znajdzie sposób, mówili pomiędzy sobą.

Józek tymczasem obracał się spoglądając ku towarzyszom i właściciela nie spuszczając z oka, bo wiedział że z nim nie przelewki. Wtem odezwał się tenże: partya! karuzel bieg zwolnił, chłopiec nie czekając ustania biegu, już chciał zeskoczyć, gdy nagle uczuł koło szyi macanie ręki szukającej kołnierza. Nie badając przyczyny a czujny jak zając w kotlinie, domyślając się o co tu idzie, przychylił się szybko, jeszcze szybciej spuścił na ziemię i choć w upadku przewrócił koziołka, nie zostawił jednak czapki po którą już właściciel wyciągnął rękę, i zerwawszy się na równe nogi smyrgnął jak oparzony, oglądając się za sobą czy go kto przypadkiem nie goni.

— Poczekaj, złapię ja cię oszuście! zawołał właściciel wygrażając pięścią.

— Niech pan siądzie na którego ze swoich koni, odezwał się jeden z chłopców odsuwając się jednak od karuzeli, to go wnet doścignie.

— Już ja was wszystkich trzech rozumu nauczę!

Chłopcy na nosie udali piszczałki a potem pokręcili ręką pod pachę jakby obracali korbą na katarynce. Właściciel przyzwyczajony do podobnie zuchwałych wybryków, nie rozgniewał się wcale tylko kijem pogroził zadowolony że się pozbył natrętów.

Stanisław z towarzyszami poszedł dalej ku sali grzmiącej głosem muzyki tanecznej i przytupywaniem ochoczych godowników. Na boku stał żyd z kramem, otoczony gromadą ochotników do gry w cetno i licho o karmelki. Obie strony pragnęły wyzyskać siebie o ile można najobficiej, i gdy kramarz bałamucił obliczaniem ujętych w rękę karmelków, gracze starali się zataflować wniesienie przynależnej opłaty, co naturalnie wywoływało ciągle swary i nieporozumienia. Czasami swary te przemieniały się w kłótnię, nawet w pokazywanie pięści i odgróżki, ale wprędce znowu wszystko się uciszało i strony wzajemnie wyłajawszy się, naprzeklinawszy kramarza, w najlepszej harmonii wracały do przerwanej czynności, aby się znowu posprzeczać i pięściami przy nosie nawytrząsać.

— A grasz żydzie na swoje gałgaństwa w loteryą? zapytał Stanisław.

— Gram panie, chybił trafił, po trzy grosze bilet z pięcioma numerami, odrzekł kramarz i pośpieszył za Stanisławem spodziewając się większej korzyści jak z gry o karmelki.

— To dobrze, odrzekł Stanisław, graj sam z sobą a pewno się nie zgrasz.

Stanisław z towarzyszami rozśmiał się, kramarz przystanął, popatrzał za idącymi i głaszcząc się po pejsach i brodzie, szepnął:

— Aj to mi wielkie państwo. Mój kram choć gałgaństwo ale mój własny, a na tobie co świeci pewno jeszcze nie zapłacone. Kto taki wielki pan w języku, to pewno w kieszeni gorszy dziada.

Stanisław nie słysząc tego monologu szedł dalej a że mu jakiś chłopczyna mimowoli plątał się przed nogami, nachylił się ku niemu i nad samem uchem

zagwizdał piskliwie. Chłopiec uskoczył na bok, a przekonawszy się że to tylko żart, rozśmiał się mówiąc:

— Tak pan śpiczasto gwizdnął że aż mnie ukłuło ot tu...

— A ty nicponiu! wrzasnął Stanisław i poskoczył z laską ku niemu wymierzoną, ale chłopiec jak sarna przeskoczył przez płot i wybiegł na błonie.

— Takie to wszystko zuchwałe! mruczał Stanisław przekonawszy się o bezużyteczności wszelkiej pogoni, że taki nawet szczeniak a skomle i kąsa. Poczekaj tylko mi się nawiniesz pod rękę!

W oknach i sali tanecznej osób było pełno tak że do środka dostać się było prawie niepodobieństwem. Znajomi a głównie Stanisław rozpychając, usuwając dostali się bliżej okna.

— A to co? pytali odepchnięci, cóż to za ordynarność?

— Kochasiu, posuń się do ramy, mówił Stanisław do opartego młodzieńca w oknie.

Zaczepiony spojrzał na Stanisława i nie poruszając się nawet odrzekł najspokojniej:

— A to kochaś niech się posunie, bo mnie i tak dobrze.

Poczem odwracając się dodał pół głosem: jaśnie pan od froterki!

Stanisław zachowywał zawsze tę wielką przezorność, że umiał zwijać chorągiewkę na zawołanie a tam podłazić gdzie nie mógł przeskoczyć. Zrobił więc i tu to samo, udał najprzód że nie dosłyszał przymówki, potem wyprostował się i nie pchając się dalej, przez głowy patrzących przyglądał się ochoczej zabawie.

A była ona niezwykle ożywioną: tołumbas huczał jak wóz z węglami po bruku warszawskim, klarnet skrzeczał, skrzypki piszczały a basetla jęczała niby z wymówką że fałszywym tonom musi wtórować. W pośrodku izby oblepionej głowami zgromadzonych, jak figurkami na parawanie, kręciło się kilkanaście par tak zamaszyście, jakby pragnęły za jednym razem wytańczyć się na całe lato. Była to zbieranina przeróżnych warstw społecznych, najwięcej złożona ze służby i rzemieślników, przybrana jak Bóg dał, troszkę przesadnie, troszkę za skromnie, czasem dziwacznie, ale bawiąca się całą pełnią rozweselonego ducha, nie myśląca nawet, że za dzień przebytej uciechy przyjdzie może cały tydzień pościć, albo parę miesięcy chodzić w trzewikach lub butach bez podeszwy. Widać także było we wszystkich pewną chętkę pokazania się jak najlepiej, aby nie przypuszczono, że się jest prostakiem wychowanym za piecem. Były tam pary same męzkie i z dziewcząt wyłącznie złożone: gdy mężczyźni poklaskiwali posuwając się tyłem przed tanecznicą, ta trzymając się za spódniczkę podrygiwała zabawnie drepcząc nogami, które żadnym sposobem nóżkami nazwać nie można było. Niektórzy tancerze palili papierosy, jeden zrzucił surdut a drugi z połą na jednej ręce zawieszoną podnosił nogi wysoko zginając w kolanie, jakby za każdym razem trafiwszy na rozpalone żelazo, z bólu odrywał je od dokuczliwej podstawy. Jedni z tworzących koło widzów śledzili pilnie podrygi taneczne, drudzy przechadzali się potrącając tańczących; przy bufecie zastawionym kromkami chleba z mięsiwem ciżba była wielka, zajadano, częstowano się, rozmawiano, nawoływano, potrącano, jedni wchodzili drudzy wychodzili, słowem ruch był wielki, gwar niesłychany nad którym panował łoskot bębna i huczenie trąby wspieranej piszczeniem klarnetu. Zdarzały się także czasami małe nieporozumienia, zatargi z posługującemi dziewczętami o wypłatę należytości, odgróżki, wytrząsania pięściami, ale wszystko zawsze zakończała zgoda i tylko czasami upartsi przeciwnicy rozłączając się, strzelali jeszcze do siebie słowami na dowód że się jeden drugiego nie lęka.

Bitew pięściowych, jakie zdarzają się w karczmach na wsi, lud warszawski starannie unika. W zwadzie czasem popchnie, złaje, zamierzy się, przystąpi tuż do piersi przeciwnika, ale wojując językiem, ręce trzyma przy sobie i nigdy nie rozpalając się gniewem, choć pozornie wygląda na bardzo rozłoszczonego, prędko uspakaja się kończąc waśń drwinkami i śmiechem. Podobną powściągliwość spostrzedz można zawsze i wszędzie nawet w zebraniach najliczniejszych, wynoszących po kilkanaście tysięcy jak w Wielkanoc na placu Ujazdowskim, lub na Bielanach albo w Czerniakowie. Być może, że do wyrobienia tej powściągliwości, przyczyniła się wielce obecność zawsze policyi, ale i to jest pewne, że bójkę pięściową lud warszawski uważa za ubliżenie swej godności, i każdą zwadę do niej zbliżoną, pogardliwie mianuje chłopskim zatargiem. Między też tłumy warszawskiego ludu choćby najliczniejsze można się mieszać bez żadnej obawy, i byle być grzecznym, uważnym i przyzwoitym w postępowaniu, uniknie się wszelkiej choćby najmniejszej nieprzyjemności a nawet dozna równych względów godnych największego uznania.

Żałować należy, że uczęszczający na podobne zebrania ludowe z klas uważających się za wyższe, rzadko kiedy mają na pamięci ten przepis uprzejmości towarzyskiej zarówno w salonie jak w szynku obowiązujący. Przekonani zbyt przesądnie o wartości form świata do którego należą, biorąc je za miarę sądu o ludziach, szydzą, wydrwiwają i naśmiewają się ze wszystkiego, co tylko jest z nimi w sprzeczności lub zdradza niedołężne ich naśladowanie. To naturalnie wyszydzonym nie może się podobać, ztąd powstają zatargi często dość gburowate, fałszywe opinie, błędne przekonania, wreszcie wzajemna niechęć do nienawiści często dochodząca i potworne obrazowanie ludu zarówno w potocznej gawędzie jak i w fejletonach gazeciarskich sprawozdań. Do serca ludu chcąc je poznać trzeba sercem zapukać: do rozumu przemówić rozumnem słowem, do uczuć zakołatać uczuciem, a lud odkryje wszystkie tajnie swojej duszy i pokaże także że jest człowiekiem, że umie kochać, rozumować i czuć co dobre, piękne i szlachetne.

Prawda, że dla wykwintnych strojnisiów, starających się pilnie o dokładne opięcie rękawiczki, nie pojmujących życia bez froterowanej posadzki, gromada ludu uwijająca się w tańcu przy muzyce fałszywej i hałaśliwej, na prostej podłodze dla kurzu zlewanej obficie wodą, w surdutach i sukniach tandetnych, oblanych potem, z ręką grubą od pracy, czasem podskakujących jak wiewiórka w klatce, albo niedźwiedź na dwóch łapach, nie może zbyt ponętny przedstawiać widok, ale tacy niech pamiętają że nie forma stanowi człowieka ale duch go ożywiający i że powłoka cielesna często z moralną wartością w rażącej pozostaje sprzeczności.

W zgromadzeniu ludu na Saskiej Kępie, nie brakło i zgrabnych postaci, nie rażących przesadą lub dziwactwem zachowania się, a nawet była ich przeważająca liczba stanowiąca główne tło obrazu, na którem wybitniejsze jednostki, każdemu wpadały w oczy. Pomiędzy dziewczętami pokazywały się i nieszpetne buziaki ze spojrzeniem pełnem skromności, do których lgnęła młodzież starając się przedstawić jak najkorzystniej. Wśród niej błyszczała twarz nieraz zdobna wielkiem życiem, ożywiona myślą dziwnie ku sobie pociągającą, a chociaż podniesienie wesołości było wielkie, nie sprawiał jej trunek ale zabawa dudleniem muzyki podsycana. Lud warszawski w ogóle pijaństwu nie oddaje się: nałogowych spotkać można, ale trzeźwość znacznie przeważa. W zabawach najtłumniejszych często i jednego pijanego nie spotka, choć sposobności do zabawy z kieliszkiem nie brakuje.

Nie było więc i tu pijanych, ale rozweselonych mnóstwo, prawie wszyscy. Widok tak pełen życia zajął niezmiernie Jana, wpatrzył się w niego i prawie pozazdrościł że do uciechy ogólnej nie należy. W tem do sali tanecznej przez bufet wszedł jakiś niemłody już rzemieślnik z żoną a za nim Bolesław z młodziutką panienką. Z drugiej znów strony od frontu, pokazał się mężczyzna o ciemnych blond włosach a oczach czarnych patrzących dziko jak hyena. Od pierwszego rzutu oka zobaczył Bolesława stojącego przy młodej panience i uśmiechnął się szyderczo, Bolesław pochmurzył się a Stanisław szepnął do Mieczysława:

— Patrz Żyrafko, z jednej strony Bolesław, z drugiej Łepak jak wilk wygłodzony. Ten Bolesław coraz bardziej staje się zagadkowym. Co znaczy to towarzystwo koczkodanów w którem się znajduje? To przerzucanie się z pod strychu do salonu, niecierpliwi mnie. Pomówię o tem z Łepakiem, tylko trzeba uważać gdzie się oba obrócą.

(d. c. n.)

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów“.)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Ale podobne przemowy nie trafiały do serca młodemu terminatorowi — on myślał tylko o swoich skrzypcach, a zakazano mu grać na nich, nawet po godzinach pracy. Biedak czekał cierpliwie, pocieszając się że wynagrodzi to sobie w niedzielę, ale nie dość zadowolniony z jego pilności, majster i do niedzieli rozciągnął swój zakaz.

— Jesteś pan okrutnym tyranem! zawołał chłopiec oburzony do najwyższego stopnia; nie chcę być introligatorem, pójdę sobie!

I uciekł ze swemi skrzypcami, zanim okrutny majster ochłonął z osłupienia po tak buntowniczej odpowiedzi.

Ale gdzież się uda? Jeźli wróci do ojca, zostanie gwałtem odprowadzony do warsztatu — pobiegł przed siebie zdając się na Opatrzność bozką; przeszedł linie fortyfikacyjne i poznał drogę prowadzącą do Doebling. Ranek był prześliczny; ptaki śpiewały swe piosenki miłości w rozkwitających drzewach, poświętniki latały po łąkach jak studenci używający wakacyi. Janek usiadł sobie na wzgórzu w cieniu woniejących drzew lipowych, po chwili wyjął ukochane skrzypki i zaczął grać z kolei wszystko co tylko umiał, a wyczerpawszy cały repertuar, zaczął improwizować różne urywki i zdało mu się że instrument jego odpowiadał mu jakby najlepszy przyjaciel, pojmował i powtarzał wszystkie jego myśli. Miał w kieszeni kawałek suchego chleba, napił się wody źródlanej i rad był z tego jakby z królewskiej uczty. Nareszcie słońce zaszło, noc zapadła; a on siedział i grał na swojem wzgórzu, nareszcie zasnął trzymając skrzypce w ręku i we śnie słyszał jakieś niebiańskie melodye.

Gdy się nazajutrz przebudził, ptaszki świergotały wesoło a przed nim stał jakiś mężczyzna przypatru-

jący mu się z zadziwieniem. Przeląkł się i chciał uciekać.

— Cóż to, nie poznajesz mnie, Janku? zapytał nieznajomy.

Głos zwrócił uwagę chłopca, przypominał go sobie, a gdy nieznajomy powiedział mu swoje nazwisko, poznał jednego z gości uczęszczających do jego ojca. Opowiedział mu swoją przygodę, prosząc aby go nie zdradził.

— Pomieścimy się we dwóch w mieszkaniu które nająłem w Doebling; chodź ze mną chłopcze, będziesz bezpieczny i wolno ci będzie całe dnie grać na skrzypcach. Janek podał rękę opiekunowi jakiego mu zesłała Opatrzność, a w godzinę później umieszczono go w ładnym pokoiku, cichym, spokojnym, z widokiem na prześliczny ogród. Pan H. niedługo pojechał do Wiednia i tam uspokoił starego Straus'a o los jego syna. Zaś majster introligator nasłuchał się różnych docinków, kumoszki z sąsiedztwa oskarżały go iż tak nieludzko obchodził się z Jankiem, że ten z rozpaczy rzucił się w nurty Dunaju.

Nareszcie eks-terminator introligatorski wrócił do rodzicielskiego domu, a protektor postarał się o to iż zaczął pobierać lekcye muzyki od sławnego skrzypka; następnie Strauss pomieścił się przy kapelmistrzu Pamer'ze, a w końcu został przyjęty do orkiestry Lanner'a. W owym czasie nic nie płacono za wejście na koncert, i tylko wziąwszy tekę w rękę, młody Strauss obchodził z nią słuchaczy.

Talent, praca i nadzwyczajna gorliwość młodego muzykanta, zwróciły niebawem uwagę Lanner'a; w karnawale r. 1825, rozdzielił orkiestrę swoją na dwa oddziały, i zrobił Straus'a dyrektorem jednego z nich.

Pewnego wieczora Straus przygrywał do tańca licznej publiczności zebranej w sali pod *Zielonem Drzewem*; w tem weszła do niej dziewczyna tak cudownie piękna, iż zobaczywszy ją zaczerwienił się i nie mógł od niej oderwać oczu. I młode dziewczę rumieniło się ciągle, czując wlepione w siebie jego spojrzenie. W tem zerwała się jedna struna jego skrzypców, Straus wyrwał instrument swemu koledze i grał dalej zaczętą polkę z niewysłowionym zapałem, gdyż grał *dla niej*. Wróciwszy do siebie nie udał się na spoczynek, tylko zasiadł do stolika i ułożył swego pierwszego walca, który stanowił o jego przyszłości jako kompozytora.

Straus i Lanner połączyli się z sobą węzłami ścisłej przyjaźni. Lanner lubił dobrze żyć, zawsze był wesół i niczem się nie troszczył; nigdy grosza nie miał w kieszeni, utrzymując że mieć długi jest to już tem samem należeć do dobrego tonu. Często na dwóch mieli tylko jedną koszulę, a że trudno było nią się dzielić, więc ciągnęli losy kto ją ma włożyć, komu los nie dopisał, zniewolony był zapinać odzież pod samą szyję, choćby w największe gorąco.

Raz Straus odważył się nareszcie kazać sobie zrobić czarny garnitur u krawca, nosił go już czas jakiś, gdy nareszcie bardzo rano w środę popielcową, zanim jeszcze wstał z łóżka krawiec przyszedł upomnieć się o swoją należność, niestety! biedny muzyk był goły jak turecki święty. Nie zważając na prośby i przełożenia, krawiec zabrał ubranie, co skazywało Straus'a na areszt w łóżku, gdyż nie miał żadnego innego odzienia. Gdy zrozpaczony przyzywał pomocy swojego anioła stróża, krawiec powrócił mówiąc: „Suknia pana już zanadto znoszona abym ją mógł sprzedać za nową, więc zostawiam ci ją licząc na twoje sumienie że mnie nie skrzywdzisz.“

I w takiem to zostając położeniu, Strauss się ożenił! Ale młodość zawsze jest pełna nadziei, a on miał prawo liczyć na swoją gwiazdę.

Gdy Strauss i Lanner mieli się rozdzielić, ostatni zwołał swoją orkiestrę, dając do wyboru muzykantom, czy chcą pozostać przy nim czy przejść do Strauss'a; czternastu odłączyło się i Strauss od razu miał gotową orkiestrę a pierwsze zaraz koncerta cieszyły się niesłychanem powodzeniem. Wiedeń podzielił się na dwa obozy, na *Lanerzystów* i *Strausistów*.

Strauss przedsięwziął wkrótce wielką podróż muzykalną po Europie; był w Monachium, w Hamburgu, w Amsterdamie, w Hadze i w Paryżu, gdzie grał w Tuillerie, w obec całej rodziny królewskiej. Po koncercie, Ludwik-Filip ścisnął go za rękę, mówiąc: „Od dawna już znam kompozycye pana i miło mi bardzo poznać cię osobiście.“ Nazajutrz wręczono mu od króla parę tysięcy franków.

Dawszy w Paryżu z Musard'em dwadzieścia koncertów, udał się do Havru i do Rouen i powróciwszy do Paryża dyrygował orkiestrą złożoną ze stu czterdziestu osób, w sali Saint-Honoré. Meyerbeer i Cherubini uczęszczali w Paryżu na jego koncerta. „Jest to muzyka nader oryginalna jakiej nie zdarzyło mi się słyszeć; prawdziwe echo bawiącego się, wesołego aż do szału życia wiedeńskiego. Strauss jest mistrzem w swoim rodzaju, powiedział Meyerbeer.“

Później Strauss udał się do Anglii, gdzie go przyjmowano z największem uniesieniem, później powrócił do Austryi i tam umarł w całej pełni swego talentu i chwały. Zostawił trzech synów: Józefa, Jana i Edwarda. Józef umarł w Wiedniu z zazię-bienia, Jan jest kompozytorem oper i tylko na balach dworskich w Wiedniu i na balach Opery w Paryżu dyryguje orkiestrą. Charakter jego i obejście nacechowane jest francuzką żywością; przemieszkuje w Hitzing pod Wiedniem, wraz ze śliczną żoną swoją, która była jedną z najświetniejszych gwiazd wiedeńskiej Opery. Gabinet jego jest urządzony w guście tureckim; stoi w nim przepyszny fortepian który otrzymał w darze od zapalonego swego wielbiciela, pewnego bogatego Amerykanina. Naprzeciw wielkiego bióra zarzuconego nutami, przy którem pracuje, stoi popiersie jego zaledwie wyłaniające się z pod wieńców laurowych z szerokiemi złotemi liśćmi.

Autor *Karnawału rzymskiego*, *Cagliostra*, *Królowej Indigo*, *księcia Matuzalem* i *Cyganki*, ma śliczną córeczkę, która mimo tak młodocianego wieku, dziś już jest znakomitą artystką.

Edward pozostał wierny wiernym sobie Wiedeńczykom i tradycyom rodzicielskim; podczas zimy panuje wszechwładnie w *Sali kwiatowej*, w *Kursalu* i w *Musikverein*. Ma pod swoim kierunkiem pięć czy sześć orkiestr i jeździ swoim powozem z balu na bal, z koncertu na koncert, aby przewodniczyć tu uwerturze, tam zagrać walca lub polkę. W lecie króluje w pośród swej orkiestry w *Ogrodzie ludowym* lub w Parku miejskim, a śliczne Wiedenki cisną się aby lepiej słyszeć króla walca, otaczając go i tworząc dwór jakiego mógłby pozazdrościć nie jeden monarcha.

XIV.

W stolicy Austryi koncerta kończą się tak wcześnie, iż Wiedeńczycy mogą z nich chodzić do teatru. Sal teatralnych jest w Wiedniu dwanaście; w niedzielę i święta, publiczność zapełnie je tłumnie.

Jezuici pierwsi zaprowadzili w Wiedniu teatr, każąc uczniom swoim odgrywać sztuki łacińskie; ale tak w Austryi jak i w całych Niemczech teatr wywodzi swój początek od fars i krotochwil. Jeszcze na początku tego wieku słynny Antoni Stranisky, zwany Hans Wurst był ulubieńcem Wiedeńczyków. Urodził się on w Szlązku w 1776 r. i uczęszczał na naukę do Kolegium Jezuitów we Wrocławiu. Sam pisał sobie sztuki, a dyalogi były tak wesołe i zabawne iż wkrótce stał się nadzwyczaj popularnym. Stranisky był zarazem dentystą dworskim; zebrał on wielki majątek. Po nim nastąpił Feliks Kurtz, znany pod nazwiskiem Bernardin'a, i on układał sztuki cieszące się wielkiem powodzeniem. Na przedstawieniach jego bywała nietylko arystokracya i książęta, ale nawet biskupi i sam cesarz. Oryginalne są ogłaszane przez niego programy, o to jeden który pokazano mi w Bibliotece cesarskiej:

Ściganie przez miłość czyli okrutna królowa Attalanty, wraz z Hansem Wurst i komikiem ambasadorem miłości. Ciekawy zawiedziony, Naiwny Zabójca; Najchciwszy z lokai; Dwóch tragarzy źle wynagrodzonych; Niewinni oskarżeni; Dobrze wymustrowani żołnierze.

Drugi program Stranisky'ego, nosi tytuł:

Ścięcie sławnego mówcy Cycerona, przez Hansa Wurst.

W sztuce pod tytułem *Nadzwyczajny Myśliwy*, Hans Wurst prowadzi ze swoim koleżką następującą rozmowę.

— Jak się miewasz.

Nie szczególnie; od czasu ostatniego naszego widzenia, ożeniłem się.

— Dobrześ zrobił.

— Nie koniecznie dobrze, bo żona moja jest złośnicą.

— O to źle!

— No, nie tak znów źle jak myślisz, gdyż wziąłem za nią 20,000 florenów.

— Masz się czem pocieszyć.

— Eh! nie bardzo gdyż za cały ten posag kupiłem owiec i wszystkie padły.

— Co za nieszczęście!

— Nie tak znów wielkie jak myślisz, bo za wełnę wziąłem co mnie kosztowały owce.

— W takim razie nie poniosłeś żadnej straty.

— Gdzie tam, większą niż myślisz, gdyż dom w którym chowałem moje pieniądze spalił się do szczętu.

— Jakaż to okropna klęska!

— Przeciwnie, przyjacielu, żona moja była w spalonym domu!

Kłótnie małżeńskie, oszukani mężowie, oto wiekuisty temat tych fars. „O jednem tylko wiem dobrem małżeństwie, mówi Stranisky w jednej ze swych fars, to jest o zaślubinach doży z morzem.“

Takie *Hans-Wurstiades* raziły bardzo skromną Angielkę; lady Montaigue mówi też z wielkiem oburzeniem: „o dwóch sozyuszach zdejmujących bez ceremonii dolne swe odzienie w obec widzów wśród których znajdują się damy z najwyższego towarzystwa, zdające się wielką znajdować przyjemność w podobnych widowiskach.

W r. 1708 z polecenia Rady Gminnej zbudowano salę teatralną przy bramie Karyntyjskiej i dawano w niej przedstawienia po włosku i po francuzku. Za panowania cesarza Karola VII Wiedeń przejął od Hiszpanów zamiłowanie w walkach zwierząt. W r. 1755, pewien Francuz nazwiskiem Defresne, wybudował ogromny drewniany amfiteatr, w którym mieściło się trzy tysiące widzów, i co niedziela odbywały się tam walki byków, wilków, psów i niedźwiedzi. Herold w strzeleckim stroju jeździł po ulicy zapowiadając każde przedstawienie. Pewnego razu, niedźwiedź który rozszarpał już tuzin psów, chciał rzucić się na widzów; tłum zaczął uciekać na wszystkie strony a pluton żołnierzy zastrzelił rozwścieczonego zwierza. W roku 1776 amfiteatr spłonął wraz z menażeryą, z wyjątkiem

jednego żubra który żył sobie w parku Schoenbrunn aż do 1809 roku.

Po wstąpieniu na tron Józefa II teatr Burgu nazwany został Teatrem narodowym i przedstawiano już w nim tylko sztuki niemieckie. Lessing stworzył dramat, a Goethe i Schiller swoje arcydzieła, ale zamiłowanie w farsach i arlekinach, tak głęboko było zakorzenione w publiczności wiedeńskiej, że długi czas jeszcze autorowie dramatyczni, musieli utwory swe przeplatać pantominami. Po dziś dzień tak zwane „koncerta kawiarniane" w których przedstawiają zarazem różne pantominy i sztuki kuglarskie są ulubioną zabawą Wiedeńczyków.

W teatrze Burgu przechowują się klasyczne tradycye, tu nawet role lokai powierzane są dobrym aktorom to też sztuki znakomicie bywają odgrywane, podobnej całości i, że tak powiem, dystynkcyi, nie zobaczy na innych scenach niemieckich. Repertuar Burgu jest dość bogaty, ale sztuk oryginalnych nie wiele, zdaje się dla dwóch przyczyn. Najpierw, dla dyrektorów jest korzystniej i wygodniej przedstawiać sztuki grane już w Paryżu, których powodzenia mogą być pewni, a powtóre Niemcy nie posiadają daru dramatycznego; komedye ich są ciężkie i zbyt trywialne, a w dramatach najczęściej zastępują akcyą sążnistemi tyradami. Ze śmiercią Schiller'a i Goethe'go, talent dramatyczny zdaje się zaginął w Niemczech; wprawdzie wielu probowało sił swoich na tem polu, ale nie utworzono nic znakomitego, a nawet i tak wysoko cenione tragedye słynnego wiedeńskiego poety, Grillparzer'a, nie miałyby powodzenia na scenach zagranicznych. Są one za zbyt uroczyste i zimne; nie można im zaprzeczyć piękności, ale jest to jakby fronton świątyni greckiej na fotografii. Dziś jeszcze można dosłownie powtórzyć sąd pani de Stael o teatrze niemieckim: „Sztuki niemieckie, mówi ona, podobne są zazwyczaj do obrazów starożytnych malarzy; postacie są piękne, i wyraziste ale wszystkie stają na jednym planie, niekiedy pomieszane bezładnie, niekiedy znowu ściśnięte obok siebie jak na płaskorzeźbach, nie łącząc się w gruppy przed oczyma widzów. Ja zaś sądzę że scena zarówno jak malarstwo, powinna podlegać prawom perspektywy."

XV.

W Wiedniu Opera poprzedziła komedyą. Pierwsza sala Opery została wzniesiona w miejscu gdzie obecnie stoi biblioteka, a przedstawienia rozpoczęły się od *Złotego Jabłka* do którego Sesti dorobił muzykę. Miały w niem miejsce dwadzieścia trzy natychmiastowe zmiany sceniczne i dwadzieścia trzy bitew. W scenie dziewiątej 1 aktu, Paris pokazywał Junonie galeryą lśniącą od blasku dyamentów; na prawo ukazywał się Momus, podtrzymywany przez geniuszów, na lewo, stała na tęczy uzbrojona Minerwa. Przy końcu sztuki pokazywał się cały Olimp w obłokach, a Jowisz siedzący na swoim tronie, oznajmiał boginiom, że złote jabłko przysądzone zostało narzeczonej cesarza, ponieważ była wspaniała i dostojna jak Junona, mądra jak Minerwa i piękna jak Venus.

Karol VI był namiętnym miłośnikiem widowisk teatralnych. Zakontraktował pierwszorzędnych śpiewaków i kazał im porobić przepyszne kostiumy, grywano opery w Wiedniu a oprócz tego dawano przedstawienia w ogrodach pałacowych dworskich. Lady Montague podaje iż była obecną, we wrześniu 1716 roku, na pszedstawieniu wielkiej jakiejś opery w parku Faworyty. Teatr wznosił się nad brzegiem kanału, a na początku drugiego aktu, ściana się rozstąpiła i ukazała lustrzaną powierzchnię wód, a na niej dwie floty złożone z małych złoconych okrętów, przedstawiały niby walkę morską.

Ale tylko osoby mające przystęp do dworu mogły rozkoszować się tą królewską zabawką. Marya-Teresa mająca pojęcia ekonomiczne, umyśliła iż można z łatwością mieć dobrych muzyków i śpiewaków bez żadnego na to wydatku, dopuszczając „za opłatą" publiczność na te uprzywilejowane przedstawienia. W dniu otwarcia Opery dla publiczności, przedstawiono *Semiramidę* Glück'a, a przywołany z Rzymu przez cesarzowę poeta Metastazyusz, napisał libretta do dwudziestu trzech oper, do których najznakomitsi kompozytorowie dorobili muzykę.

Wkrótce sala okazała się za ciasną; zbudowano operę po za pałacem cesarskim, ale niezadługo i ta okazała się za małą. Wtedy postanowiono wznieść nową Operę na Ringu. Otwarcie miało miejsce w roku 1869 i wywołał powszechny okrzyk podziwu i uwielbienia. Do owej chwili nie widziano sali nigdzie równie wielkiej, pięknej i tak wygodnie urządzonej zarówno dla aktorów jak i dla widzów; ze wszystkich stron liczne wyjścia i wejścia, wyborne oświetlenie i wentylacya zakrawająca na czarodziejską. Jeśli komuś za gorąco, czy to w loży czy w krzesłach, daje znak odpowiedniemu oficyaliście, i natychmiast daje mu się uczuć lekki powiew chłodzący go mile. W każdej chwili można mieć żądaną temperaturę. W piwnicach teatru urządzone są maszyny puszczające ciepło i zimno, a termometr połączony drutami elektrycznemi i umieszczony w przeznaczonym na to pokoju, wskazuje temperaturę panującą na wszystkich piętrach. W zimie przychodzą do teatru Opery dla ogrzania się, w lecie dla ochłodzenia. Twórcą tego wybornego systemu wentylacyi który zaprowadzono już także w kilku szpitalach wiedeńskich, jest pan R. Böhm.

Sala oświetla się za pomocą drutu elektrycznego, który od razu zapala wszystkie beki. Sala jest biała, ozdobiona a nie przeciążona złoceniami. Piękne freski zdobią sufit; a loże pierwszorzędne zdobią medaliony przedstawiające najsławniejszych śpiewaków. W każdej loży znajduje się zwierciadło, a poprzedzona jest salonem. Loża cesarska mieści się w środku; cesarz ma tu trzy czy cztery salony i *foyer* bardzo bogato urządzone, podobne do sali tronowej. Arcyksiążęta mają lożę oddzielną. Budowniczy Opery wiedeńskiej zbudował ją na wzór teatrów włoskich; jest w niej parter z miejscami stojącemi i pięć rzędów lóż. Krzesła tak są urządzone, iż gdy tylko widz wstanie same się składają, co nader ułatwia cyrkulacyą. Pod każdym fotelem urządzone jest miejsce do postawienia kapelusza.

(*d. c. n.*)

Gawędy naukowe.

Sposób wyniszczania gąsienic w ogrodach, kwas karbolowy. — Odkrycie nowego zwierzęcia przedpotopowego.— Mikrofon i udoskonalenia telefonu.

Tej wiosny w ogrodach tutejszych pojawiła się wielka ilość gąsienic i coraz więcej ich się mnoży, grożąc zniszczeniem warzyw i owoców. Niedawno niektóre pisma polecały jako środek mogący radykalnie wytępić gąsienicę, smarowanie drzew owocowych smołą z węgla kamiennego. Doświadczony jednak i uczony ogrodnik, p. Edmund Jankowski dyrektor ogrodu Pomologicznego w Warszawie, potępia ten środek, jako szkodliwy dla drzew i mogący nawet śmierć ich sprowadzić. Tak on się wyraża o tym materyale:

„Ciecz ta dla drzew jest trującą, przepala bowiem ich korę, przenika aż do miazgi, a miejsce nią posmarowane staje się niby ognistym pierścieniem, przez który w górę przedzierać się nie mogą. Im drzewo jest młodsze i korę ma cieńszą, tem śmierć jego prędzej następuje."

Teraz zaś podają środek inny, zupełnie racyonalny, a przez kilku miłośników sadownictwa z najlepszym skutkiem już wypróbowany. Polega on na skrapianiu drzewa przez gąsienice napadniętego, jakoteż krzewów i kapusty, roztworem bardzo rozcieńczonym *kwasu karbolowego* Dość jest pół łyżeczki od kawy do wiadra wody, którą dobrze wymieszawszy skrapiać drzewa za pomocą zwyczajnej ogrodowej szprycy. Potrzeba uważać aby kwasu karbolowego nie używać w większej nad wskazaną ilości bo możnaby liście przepalić. Od niego wszystkie gąsienice wyginą, a jeśli znowu na temże drzewie się pojawią, to już chyba takie które później przywędrują, a więc szprycowanie w miarę potrzeby ponawiać należy.

Nauka Paleontologii jakkolwiek nie dawna ale już na wysokim szczeblu stojąca, rozwija się coraz bardziej; z dniem każdym mnożą odkrycia na jaw wydobywające szczątki nowych, nieznanych zwierząt przedpotopowych. Do najważniejszych w tym względzie należy odkrycie ostatniemi czasy uczynione w górach Skalistych w stanie Colorado Ameryki Północnej, przez p. Artura Lakes, profesora geologii w Jarwis-Hall. Ważność tego odkrycia szczątków olbrzymiego i nieznanego dotąd zwierzęcia ssącego polega głównie na tem, że znaleziono je w takim pokładzie ziemnym, który przez geologów był uznana stanowczo za pozbawiony szczątków zwierząt kręgowych. Niektóre z tych kości wydobyto przy rozsadzaniu dynamitem bardzo twardego piaskowca, inne zaś wykopano tamże z miękkiej gliny pod skałą. Te ostatnie były najlepiej zachowane i zdumiewająco olbrzymich rozmiarów; tak naprzykład, dwadzieścia kilka kręgów kości pacierzowej mają od 11 do 15 cali średnicy; trzy zaś pospołu skamieniałe mają aż trzy stopy kwadratowe powierzchni! Kość łopatkowa przedstawia wymiary niemniej zadziwiające, długą jest na 3 stopy i cali 10, a ma w grubszym końcu 22 cale, prawie łokieć, średnicy. Ale nierównie większą jeszcze stosunkowo jest część kości udowej, długa na stóp 5 a trzymająca wagi 600 funtów! Patrząc na nią rozciągniętą na ziemi zdaje się że to odłamek filaru jakiej starożytnej świątyni, a zgroza przenika na samą myśl jak olbrzymiem musiało być to zwierzę, którego noga (a należało ono do zwierząt o nogach krótkich), odbudowana odpowiednio do wymiarów tej kości, której część utracono, wynosiłaby stóp dwanaście.

Najsłynniejszy paleontolog i anatom amerykański, profesor Marsh, zdeterminował że kości te pochodzą z okresu kredowego, i należą do nowego olbrzymiego gatunku *Dinosaura*, największego z dotąd odkrytych zwierząt lądowych. Nazwał on go *Titanosaurus montanus* i obliczył że potwór ten za życia musiał mieć sześćdziesiąt stóp długości, a kiedy się wspinał na tylnych nogach, ażeby się paść liśćmi drzew, jak to czynią i czyniły zwierzęta tej rodziny, to musiał być wysokim na stóp ośmdziesiąt!

Obok tych szczątków *Titanosaura*, znaleziono tamże inny gatunek *Dinosaura*, nie większy od zwyczajnego kota (*Nanosaurus*), a także szczątki żółwia i prawie zupełnie całą głowę krokodyla z zębami i znaczniejszą częścią kości pacierzowej. W tych ostatnich profesor Marsh uznał szczątki zaginionego gatunku krokodyla *Dialosaura*, mają-

cego głowę i zęby krokodyla dzisiejszego, przy kręgach poprzednika swego z formacyi Triasowej. Tem ważniejsze zatem dla nauki jest to odkrycie, iż wypełnia jedno z zaginionych ogniw w nieprzerwanym łańcuchu stworzeń.

Profesor Lakes, który nad wydobyciem i oczyszczeniem tych kości, z największą gorliwością pracował kilka miesięcy, upakowawszy je starannie, odwiózł do Muzeum w Yale, utrzymując że skarbów paleontologicznych bynajmniej nie wyczerpał w tej miejscowości i zamierza wrócić do niej dla dalszych poszukiwań.

Hrabia de Morel przedstawił w tych dniach na posiedzeniu Akademii nauk w Paryżu, nowy przyrząd zwany *mikrofonem*, za pomocą którego szelest idącego zegarka kieszonkowego daje się słyszeć z taką siłą jak łoskot we młynie, prawie ogłuszający; co więcej, nawet wzajemne tarcie ząbków kółek, wyraźnie dawało się słyszeć jakby w jakiej wielkiej machinie parowej.

Ciekawy ten przyrząd o wiele wpłynie na ulepszenie zwyczajnego telefonu, który jak wiadomo, służy do przenoszenia głosu na pewną odległość, ale ze znacznem osłabieniem. *Mikrofon* zaradza temu w zupełności, i właściwie jest tem dla ucha, czem mikroskop dla oka.

Przedtem jeszcze pan Hughes wprowadził do telefonu Bella modyfikacyą tego rodzaju, którą tąż samą nazwą oznaczył, a która sprawia iż podany głos bardzo słaby, na drugim końcu linii telegraficznej bardzo mocno słyszeć się daje wszakże nie z taką siłą. Czyniąc doświadczenia nad czułością tego przyrządu, włożono do telefonu żywą muchę zamkniętą w małem pudełeczku. Na drugim końcu linii telegraficznej przez zwyczajny telefon odbierający Bella, wyraźnie słychać było jak uwięziony owad ruszał się, podlatywał, nóżkami drapał i t. p.

Prawie jednocześnie z temi dwoma ważnemi ulepszeniami przyrządu Bella, konsul francuzki w Medyolanie, donosi listem do Akademii Nauk adresowanym, o p. Ridi z Bolonii, który zwykłemu telefonowi zdołał nadać siłę zupełnie dotąd nieznaną, dozwalającą kilkuset naraz osobom słyszeć mowę ludzką, śpiew albo muzykę instrumentalną. Nie opisuje on jaką drogą i za pomocą jakiego urządzenia p. Ridi doszedł do tak znakomitego rezultatu, ale donosi że wynalazca sam udaje się ze swym przyrządem, aby go przedstawić Akademii Nauk.

Widzimy więc z tego, że dzięki tak niedawno wymyślonemu przez p. Bella telefonowi, wynalazki i doświadczenia w tym kierunku mnożą się z dniem każdym i coraz większej ważności nabierają. Z góry można być pewnym iż prace i usiłowanie uczonych na ten tór wprowadzone, jakieś praktyczne i znakomite wydadzą rezultaty.

H. K.

Przegląd literacki.

Wydawnictwa historyczne i pamiętniki. 1) Dziejopisarstwo polskie wieków średnich, dzieło prof. H. Zeissberga, przekład z niemieckiego (pod redakcyą A. Pawińskiego) 2 tomy. Warszawa 1876. 2) Źródła dziejowe. Tom III. Stefan Batory pod Gdańskiem (1576—1577), listy, instrukcye i uniwersały, wydał A. Pawiński. Tom IV. Początki panowania Stefana Batorego (1575—1577), listy, uniwersały i instrukcye wydał A. Pawiński. Tom V. Lustracye królewszczyzn w ziemiach ruskich Wołynia, Podola i Ukrainy, wydał A. Jabłonowski. Tom VI. Opis zamków ziemi wołyńskiej, wydał A. Jabłonowski. Warszawa 1877. 3) Opowiadania i studya historyczne przez K. Jarochowskiego. Warszawa 1877. 4) Stefana z Prószcza Medekszy, księga pamiętnicza wydarzeń zaszłych na Litwie 1656—1668 r. z rękopismu wydał dr. Seredyński. Kraków 1875. 5) Biblioteka Ordynacyi Krasińskich. Muzeum Świdzińskiego. Tom III. Pamiętnik Jana Stanisława Poczobuta Odlanickiego (1640—1658). Warszawa 1877. 6) Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce przez Juliusza Falkowskiego. Poznań 1877. 7) Pamiętniki z wojny hiszpańskiej (1808—1814) Stanisława Brockerc, b. oficera b. legionów francuzko polskich, przełożone z oryginału niemieckiego przez córkę autora Paulinę Cybulską. Warszawa 1877. 8) Listy Słowackiego do matki, tom II. Lwów 1877.

(Dalszy ciąg).

W tomie piątym „Źródeł dziejowych“ wydrukowane są z rękopismu dokumenta, tyczące się rewizyi dóbr królewskich czyli starostw na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, z czasów Zygmunta III i Władysława IV (1615—1636 r.) Podobnie jak w innych częściach Rzeczypospolitej, tak i w owych krajach, mało jeszcze wówczas zaludnionych, obszerne ziemie, stanowiące własność króla i Rzeczypospolitej były rozdawane jako chleb zasłużonych (panis bene merentium) w dożywotnie władanie tak zwanym starostom ze szlachty rycerskiej, a potem przeważnie z kilku rodów magnackich. Taki starosta obwiązany był pełnić służbę wojskową na kresach, podległych wówczas napadom tureckim i tatarskim, albo też oddawać czwartą (czasem piątą) część dochodów z nadanego sobie starostwa na utrzymanie wojska, zwanego ztąd kwarcianem (od kwarta—część czwarta). Wiadomo, że wskutek nadużycia, starostowie uważali częstokroć owe dożywotnie swe posiadłości za własność dziedziczną, sprzedawali je lub pozostawiali dzieciom, bez względu na literę prawa i ze szkodą skarbu Rzeczypospolitej. Przytem, oczywiście, zaniedbywali także opłacać ową kwartę do skarbu. Królowie, zmuszeni szukać oparcia pośród magnatów, patrzali przez szpary na te nadużycia i sami je częstokroć utrwalali, tak że w końcu starostwa były wszystkie w ręku kilku familii magnackich i przechodziły z ojca na syna: przestały więc być istotną nagrodą zasłużonych i tą drogą wiele dzisiejszych bogatych rodzin przyszło niegdyś do zawiązków olbrzymiej swej fortuny. Oprócz tego, starostowie częstokroć pozwalali sobie wielu innych nadużyć; dążąc do powiększenia swych dochodów i zaokrąglenia posiadłości, zagarniali grunta sąsiednich miast, a nawet i szlachty drobniejszej, ustanawiali bezprawnie uciążliwe dla ludzi ubogich opłaty i zmuszali do pańszczyzny na swoją korzyść ludzi przedtem wolnych. Dla zapobieżenia choć w części tym i innym nadużyciom, król i sejm wysyłali co lat kilka rewizorów czyli lustratorów, których obowiązkiem było sporządzić wykazy dochodów, dla stosownego obliczenia przypadającej do skarbu kwarty i podać do wiadomości króla i sejmu wszelkie nadużycia starostów. Rzadko jednak takie rewizye były skuteczne, gdyż w obec niedołężnego i rozprzęgającego się ustroju Rzeczypospolitej, ani lustratorowie, ani król, ani sejm nie mieli dość siły, ażeby powściągnąć nadużycia; starostowie zaś zbyt często lekceważyli i owe lustracye i władzę królewską i sejmową.

Zawarte we wzmiankowanym tomie protokuły lustracyi, zawierają mnóstwo ciekawych szczegółów o wspomnianych nadużyciach starostów, które na Wołyniu, Podolu i Ukrainie były jeszcze pospolitsze i znaczniejsze niż gdzieindziej, a to dla tego że był to kraj pograniczny, kresowy, w którym panował niejako ciągły stan wojenny, w którym rządzono się po rycersku, po kozacku, mało zważając na odległe władze najwyższe i na stanowione tam prawa. Oprócz tego, niemało tu nowych i zajmujących rysów z życia ekonomicznego i stosunków społecznych ówczesnej ludności owych krajów, rozmaitej pochodzeniem i dążnościami. Obfitość tylu ważnych wiadomości skłoniła wydawcę do zebrania i zużytkowania ich w obszernym, bardzo ciekawym i zdolnie opracowanym wstępie, który dla większości czytelników może zastąpić czytanie samych dokumentów, jako będący wyciągiem, streszczeniem i rozumowanem zestawieniem wszystkich ważniejszych dla historyka szczegółów, rozrzuconych w samych dokumentach, z natury rzeczy nieco suchych. Autor wstępu grzeszy czasem zbytnią rozwlekłością, a gdzie mu braknie materyałów, niekiedy ucieka się do własnej wyobraźni i fantazyi, snując zanadto już może zaokrąglone i zbyt bezwzględne teorye, wszelako wiele tu bardzo trafnych uwag o dziejach ruskiej i polskiej kolonizacyi ziem kresowych, o rozmaitych warstwach i klasach ludności i o ekonomicznem położeniu i warunkach ówczesnego gospodarstwa w tych krajach. W tem, co autor mówi o powstaniu kozactwa i zniknięciu wolnej klasy ludu, zwanej bojarami, wiele jest szczegółów nieznanych.

Najważniejszym jednak poglądem, przez autora najstaranniej i z największym naciskiem rozwijanym jest ten, że przyczyną wojen kozackich nie był bynajmniej ucisk narodowości lub religii, jak to przeważnie dotychczas mniemano, ale jedynie ucisk ekonomiczny, wywierany przez magnatów ukraińskich, którzy wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi środkami usiłowali opanować wszystkie siły produkcyjne kraju, uczynić je swoim monopolem i wycisnąć jak można najwięcej grosza z ziemi i z warstw ludności nieuprzywilejowanej. W tem zgubnem dążeniu szlachty ukraińskiej (a i to raczej tylko kilku magnatów) brali także znaczny udział i żydzi. Doprowadzony do nędzy lud powstał wreszcie i wywarł mordem i pożogą zemstę na „panach i żydach“ którzy go zrujnowali. Pogląd ten popiera autor zupełnie zgodnym poglądem niektórych pisarzy ruskich jak np. Kulisza.

Nakoniec w szóstym tomie „Źródeł Dziejowych“ umieszczone są dokumenta tyczące się rewizyi sześciu zamków wołyńskich i podolskich, z czasów jeszcze dawniejszych, bo z panowania Zygmunta Augusta (1545 r.) Różnica owej rewizyi od wzmiankowanych powyżej późniejszych jest ta, że Zygmunt August nakazał sprawdzić tytuły niektórych panów wołyńskich do posiadania dóbr, a przy tem obejrzeć zamki obronne. Rewizyi dokonał urzędnik kancelaryi królewskiej (z ruska djakiem zwany) Lew Patejewicz Tyszkowicz; wszystkie opisy takowej ułożone są w języku litewsko-ruskim, który aż do połowy panowania Zygmunta III był urzędowym w ziemiach wielkiego księztwa litewskiego. I tu znajdujemy podobnego rodzaju, jak i w tomie powyższym, szczegóły o społecznych stosunkach i stanie ludności Wołynia w owej epoce; i tu także wydawca opatrzył dokumenta pracą wstępną, w której rzuca pogląd na stanowisko ziemi wołyńskiej od czasów najdawniejszych do XVII wieku.

(d. c. n.)

Korespondencya z Włocławka.

Nadszedł miesiąc róż, wakacyi, nowalii, Warszawę ożywia obywatelstwo wiejskie, wełna i wyścigi; chorzy i zamożni ciągną jak stada żórawi do zagra-

nicznych źródeł a w Włocławku cisza przypominająca wiersz wieszcza Ukraińskiego „i pusto, smutno, tęskno, jak gdy szczęście minie.“ W ciężkiej epoce kurzu, potu i gorączki letniej, po niedopisanych majówkach i niedosnutych projektach, ci co pracować nie lubią a spać nie mogą, co trapią się że Włocławek nie ma własnej redakcyi kuryera by być reporterami nowin zakulisowych miasta i zapełniać szpalty ważnemi sprawami kulinarnemi, gdzie i jak gotują i co jedzą, podsłuchanemi rozmowami i podpatrzonemi świderkiem obrazkami, zdenerwowani szarpią sławę bliźnich swoich, przypominając czarne ptaki tak słusznie krukami nazwane.

W niedzielę przed Świątkami w kościele katedralnym znakomity kaznodzieja ks. Lipka, mówił do zgromadzonego tłumnie ludu, do pań i panów, śmiało i dobitnie wytykając błędy i nawracając do pokuty. Wrażenie było ogólne, słowo potoczyste mówcy, dźwięk głosu czysty i serdeczny czcigodnego kapłana pukały do serc zgangrenowanych, dobywały łez z ciemnych wyschłych głębin duszy, czyniąc nadzieję poprawy. Są wrzody do wyleczenia, są choroby moralne dla których religia, poczucie własnej czci najlepszymi są lekarzami.

By korespondencya nie stała się podobną sentencyi klasztornej, lub nie przybrała pozy kaznodziejskiej, wracam do rzeczy. Nie ma swobody dla piersi włocławskich mieszkańców, więc na brak spacerów głośno poskarżyć się możemy. Nie źle byłoby przejść się do stacyi kolei, ale w alei kurzu co niemiara bo moda wietrznica ogony poprzypinała paniom i nie zdziwilibyśmy się wcale, gdyby ród męzki prócz parasolików, na twarz pokładł zasłony jako nieomylny środek przeciwko sprowadzającej katar kurzawie. Na peronie wrzask, tłok i wyziew węgla, w ogród rozkosznie i powabnie urządzony, troskliwa ręka władzcy stacyjnego, zamknęła przed publiką między którą, wyznać ze wstydem należy, znajdują się ludziska nie znający prawa poszanowania cudzej własności. Jest i szosa kowalska ciągnąca się długim szpalerem mil kilka, po bokach jej łany kwieciem strojne i lasy niebotyczne, ale wśród tych pól pląsają stada rogacizny, nie dającej się ująć w karby przyzwoitości i z błogą niezależnością spacerują po szosie strasząc sielankowemi rogami i kopytami.

Jest jeden piękno-romantyczny spacer pełen konwalii i słowików w Spethalu po za Wisłą: chcąc tam się dostać trzeba przejść most długi, kołyszący się na 99-ciu łyżwach na początku i w końcu którego stoją budki cerberów pobierających kopytkowe od zwierząt i ludzi. Słychanaż to rzecz pobierać cło od mieszkańców za spacer, narażając ich na subiekcyą i stacye przy budkach, do których przystęp częstokroć mozolny bo zaparty wozami, końmi i bydłem.

Mieliśmy i koncert! świat choruje na wokalizm i muzykalią a koncerta stały się rzeczą powszednią jak chleb i ziemniaki. Artystka opery warszawskiej panna A. Matuszyńska, śpiewała dwukrotnie a lubo program był dosyć lekki, rodaczka nasza miłego doznała przyjęcia. Po cichu narzekano że znawcy we Włocławku radziby usłyszeć coś więcej koncertowego: amatorkom mającym udział paniom M i N głośne oddają pochwały słuszne i sprawiedliwe. Jeszcze słówko panie Redaktorze. W mieście naszem od pewnego czasu pojawiło się pacholę sierota, którego głód, nędza i opuszczenie doprowadziły do utraty rozumu. Obdarty, bosy, zgłodniały, wałęsa się wśród ludzi, w jednych budząc litość w drugich wstręt i obrzydzenie. Widziano go pod szlachtuzem pijącego krew zabitych zwierząt: instynkt głodowy zaprowadził tam sierotę. Ma chwile jaśniejsze w których opowiada krótką historyą, biednego swego żywota i tak powiada: (słowa chłopca).

— Ojca i matki nie pamiętam, wiem tylko że umarli. Brat mój żebrze z kulawym Tomkiem a wuj jest wójtem. Byłem u niego i pasałem bydło i raz gdy owca się zabłąkała i zginęła wybił mnie okrutnie, wtedy coś zrobiło mi się w głowie i nie wiedziałem gdzie jestem i co robię. Pewnej nocy był pożar we wsi, chałupa wuja zgorzała, powiedziano żem ja ją podpalił. Nie zapierałem się bo nie wiem do dziś czy to ja czy kto inny podpalił: wybito mnie i znowu wypędzono.

Inną razą widziano go zupełnym idyotą, mali gawrosze uliczni oddawali mu swój chleb, brał go i jadł łapczywie. Nagość jego była straszliwą, cuchnącą. Dnia jednego gdy błąkał się przy ulicy Wiślanej, z domu pani B. wyszedł chłopczyk syn pani K. ujął sierotę za rękę i zaprowadził do mieszkania matki. W godzinę potem sierotka wyszedł umyty, ubrany od stóp do głów i nakarmiony czego dowodziły oczy uśmiechnięte i twarz zarumieniona. Oby ci chłopczyku litościwy niebo nagrodziło, byś śmiało z pierwszej do drugiej przemaszerował klasy.

Co zaś do sieroty, dziecięcia bez jutra i przyszłości, tego polecamy miłosierdziu możnych, powtarzając słowa Chrystusa: „kto z was da któremu z tych małych, jakoby mnie dał, a ja mu oddam w straszną sądu godzinę.

Paulina Biernacka.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w przyszłym kwartale 1878, wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs.**	**2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs.**	**5**
Rocznie	**rs.**	**10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).*

Zaś od d. 1 Lipca r. b. adresować należy: **ulica Chmielna Nr. 1530 (20** nowy**).**

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczej, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczej i zwierzęcej, jak niemniej zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju. W kwartale III r. b. wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**

Półrocznie	**„ 2**	**„ 40**
Rocznie	**„ 4**	**„ 80**

Na prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1**	**kop. 50**
Półrocznie	**„ 3**	**„ —**
Rocznie	**„ 6**	**„ —**

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie ulica Elektoralna N. 41*, zaś od dnia 1 lipca r. b. adresować należy: **ulica Chmielna N. 20** dokąd redakcya przeniesioną zostanie.

Przyjaciela Dzieci Nr. 26 wyszedł z druku i zawiera:

Brama Trajana (z drzeworytem). — Stanisław Koniecpolski. — Miłosierdzie (wiersz). — Mysz Żniwiarka (z drzeworytem). — Piętnastoletni kapitan. w Dodatku: Frank Osbaldyston.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: *Do* **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

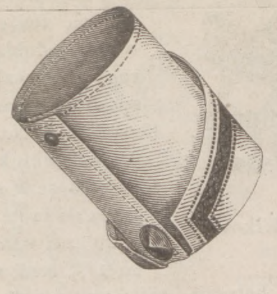
Rozwiązanie Szarady

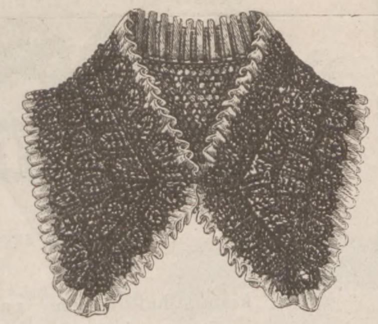
(Nie-za-po-mi-naj-ka).

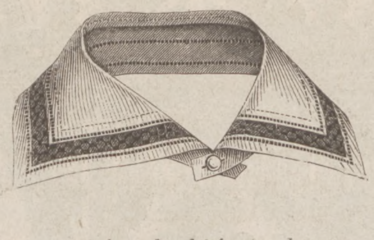
Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

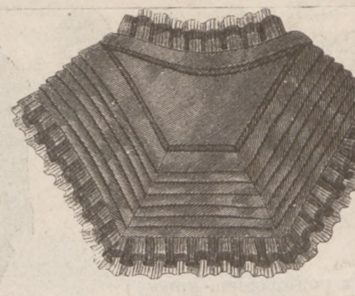
ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 15 (27) Іюня 1878 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

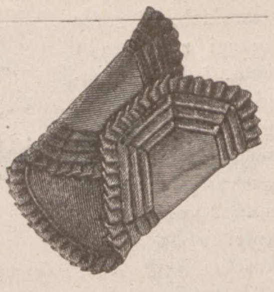
Dodatek.


N. 5. Mankiet płócienny do lekkiej żałoby.


N. 4. Kołnierz koronkowy do lekkiej żałoby.


N. 6. Kołnierzyk płócienny do lekkiej żałoby.


N. 7. Kołnierz z krepy.


N. 8. Mankiet z krepy


N. 1—15. Ubrania żałobne.

N. 1. Suknia żałobna z tuniką i paletocikiem.

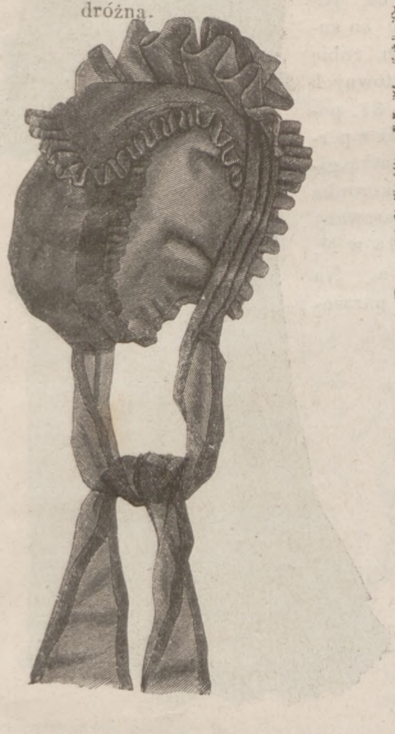
N. 2. Suknia princesse z szerokiem obłożeniem z krepy.

N. 3. Sukienka żałobna dla małej dziewczynki.

Opis do N. 25.

(Dokończenie).

N. 12—13. Próbki roboty szydełkowej na kołdrę do kolebki lub podróżna.


N. 9. Czepek krepowy.

Obiedwie próbki odrabia się z włóczki berlińskiej lub kastorowej w dwóch cieniach lub dwóch kolorach; bardzo ładnie wygląda robota z włóczki i kordonku czyli sznureczka jedwabnego siodlarskiego, którą przedstawiamy na ryc. 12.

Ta próbka robi się sposobem tunetańskim, każden węzeł składa się z 3 półsłupków przerobionych 1-ną pentelką a przedzielanych 1 oczkiem, które przerabia się do ręki prawej łańcuszkiem. W następującym rzędzie węzły robią się w o. pojedyńcze a o. w pentelki poprzedzającego rzędu.

Próbka ryc. 13 składa się z trzech rzędów ściegu plecionego, robionych kolorem jaśniejszym i z trzech rzędów ściegu krzyżowanego, robionych kolorem ciemniejszym. Przy zmianie ściegów trzeba zawsze obrobić najpierw raz nowym kolorem o. ści. łańcuszkowemi. Na ścieg pleciony nabiera się na szydełko 2 pentelki pod dwa obok siebie będące o. poprzedzającego, przerabia się razem; potem następuje 1-no o. powietrzne. W następującym rzędzie pentelki brać trzeba pod o. z dwóch stron węzła, jak to wyraźnie widać na próbce. Ścieg krzyżowany robi się o. ścisłemi branemi pod całe o. poprzedzającego rzędu a nitkę zakłada się z wierzchu na skrzydełko, jak to wskazuje strzałka na ryc. 13.

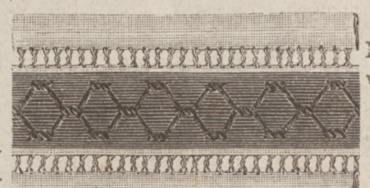

N. 10. Kapelusz z czarnej słomki do lekkiej żałoby.

N. 17. Torba podróżna na pled i t. p. przedmioty, ozdobiona kolorowym krzyżykowym haftem.

Na torbę potrzeba kawałka mocnego, szarego żaglowego płótna mającego 70 cent. wysokości a 50


N. 13. Żabot z czarnej grenadyny.

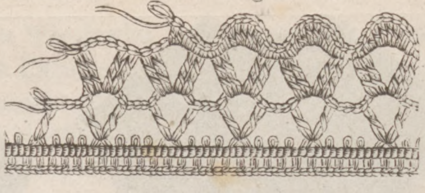

N. 14. Krawatka żałobna.


N. 15. Plisa z czarnego płótna wyszyta jedwabiem do kołnierzyka. Patrz N. 6.


N. 11. Kapelusz do grubej żałoby.


N. 12. Czepek krepowy dla starszych osób.

szerokości; zwierzchnie z obydwóch stron przyczepione kieszonki, robią się z kawałków 16 cent. długich a 19 szerokich. W górze brzegi zachodzą 4 cent. jeden na drugi i są zapięte na 3 guziki. Boczne ścianki trochę w rogach zaokrąglone mają 20 cent. wysokości a 16 szerokości.



N. 16. Ząbki szydełkowe.

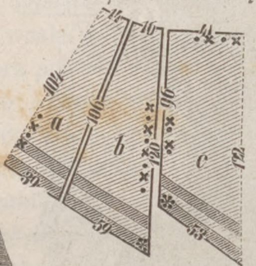
Deseń krzyżykowy wyszywa się (z podłożeniem kanwy) bawełną niebieską i ponsową. Przy szwach i brzegach dane ponsowe wypustki z grubym sznurkiem.



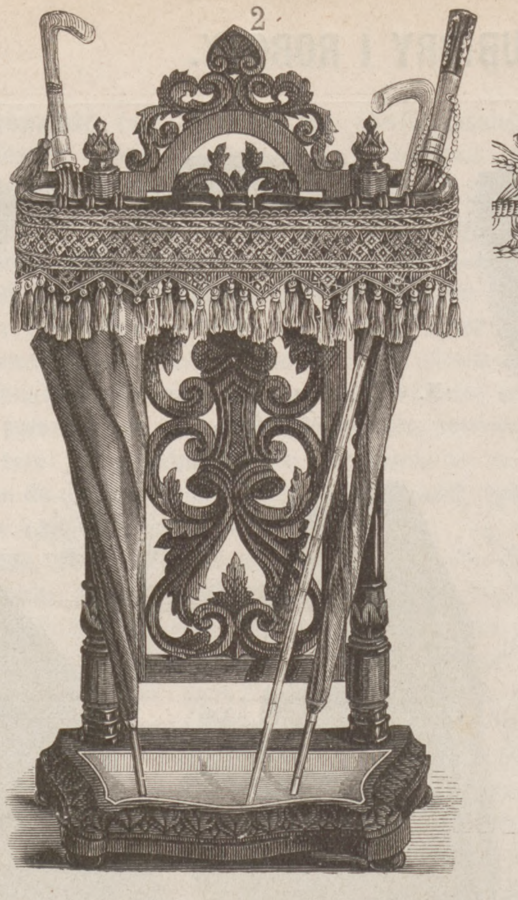
N. 20. Płaszczyk ozdobiony plisami krój na arkuszu do N. 19 ryc. 22.

N. 19. Fartuszek bluzkowy dla dzieci. Deseń do wyszycia ryc. 32 w N. 26.

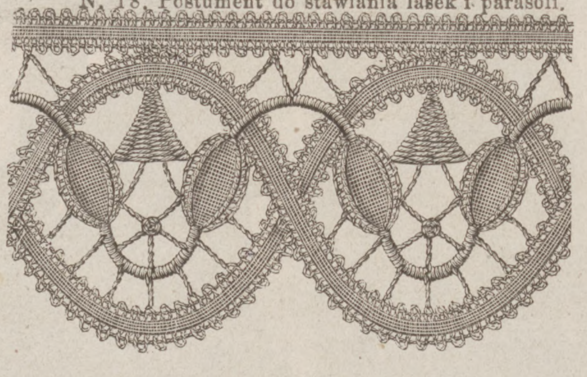
Fartuszek z białego muślinu albo z materyału w paski ażurowe z klinami z boków, zapina się z tyłu na guziczki. Falbanka haftowana na batyście, ma 5 cent. szerokości przy wykroju szyi a 10 u dołu fartuszka. Na wstawkę nad falbanką podajemy deseń na ryc. 31 w N. 26, łatwy i pospieszny rodzaj haftu wyszywa się bawełną w dwóch cieniach albo dwóch kolorach; na falbankę służyć może deseń ryc. 30 i 31 w N. 26.



N. 21. Zmniejszony format kroju tuniki ryc. 33.



N. 18. Postument do stawiania lasek i parasoli.



N. 19. Koronka irlandzka.



N. 24. Poduszka na kanapę.

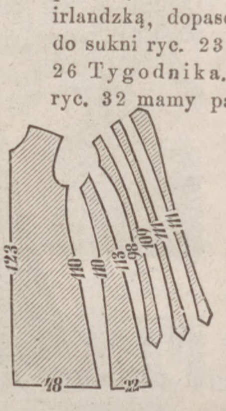


N. 17. Ząbki szydełkowe.

steczek użyte były prawdziwe wstawki i koronki (walansjenki); nowość stanowią narożniki z takiej koronki umyślnie na ten cel robione, zdobiące 4 rogi chusteczki, w sposób wskazany na ryc. 25. Na ryc. 26 wstawki koronkowe 3 cent. szerokieda ne są na przemian ze wstawkami 1 1/2 cent. szerokiemi, haftowanemi na batyście ściegiem supełkowym i długim, których próbkę podajemy na ryc. 27—28. W miejsce walansjenki można użyć wstawek i koronki robionych na najlepszym tiulu, sposobem wskazanym na ryc. 29 i 30, na które wiele pięknych deseni podaliśmy w bieżącym roku.

N. 31—32 i 24 oraz ryc. 19 w N. 26. Dwa parasoliki.

Do kostiumów spacerowych letnich, parasoliki z tego co suknia materyału robią się bez kosztownych ozdób. Na ryc. 31. podajemy parasolik z perkalu, oszyty siatką gipiurową lub koronką irlandzką, dopasowany do sukni ryc. 23 w N. 26 Tygodnika. Na ryc. 32 mamy parasolik z bastu écru, oszyty frendzlą macramé odpowiednio do sukni ryc, 35 w N. bieżącym.



N. 23. Zmniejszony format kroju płaszczyka.



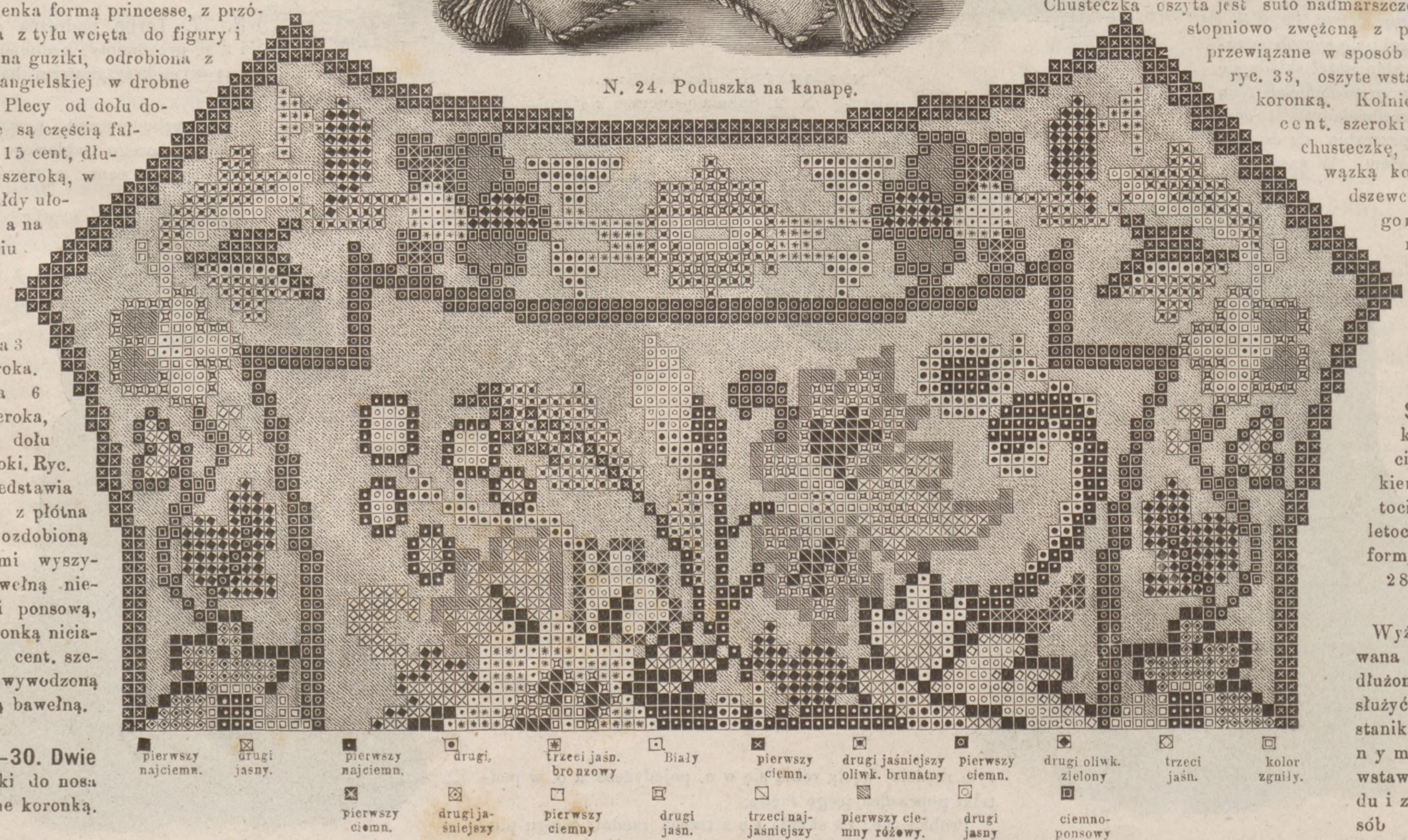
N. 22. Płaszczyk z krótką pelerynką.

N. 20. Sukienka dziecinna z wykrojem kwadratowym. Patrz ryc. 38 w N. 26.

Suknienka formą princesse, z przódu luzna z tyłu wcięta do figury i zapięta na guziki, odrobiona z dymki angielskiej w drobne paski. Plecy od dołu dopełnione są częścią fałdowaną 15 cent, długą a 92 szeroką, w kontrafałdy ułożoną, a na przyszyciu której dana pliska i falbanka 3 cent szeroka. Falbanka 6 cent. szeroka, zdobi u dołu przód i boki. Ryc. 38 przedstawia sukienkę z płótna szarego, ozdobioną szlaczkami wyszytemi bawełną niebieską i ponsową, oraz koronką nicianą 3 i 1 cent. szeroką, wywodzoną kolorową bawełną.

N. 25—30. Dwie chusteczki do nosa ozdobione koronką.

Do obydwóch chu-



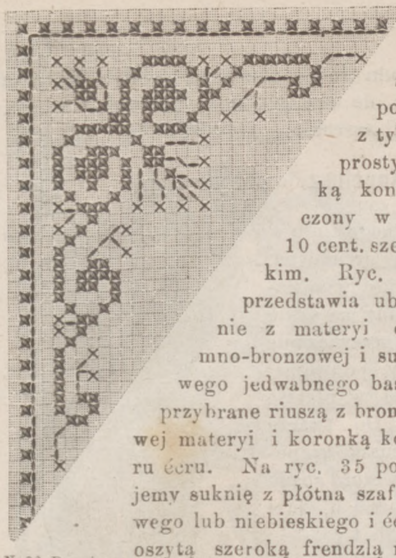
N. 25. Haft gobelinowy na aksamicie na poduszkę.

N. 33. Chusteczka z muślinu i koronki. Krój podług ryc. 20 i 22 w N. 23 Tygodnika.

Chusteczka oszyta jest suto nadmarszczoną koronką, stopniowo zwężoną z przodu, końce przewiązane w sposób wskazany na ryc. 33, oszyte wstawką i węższą koronką. Kołnierz około 10 cent. szeroki założony na chusteczkę, jest naszyty wązką koronką na podszewce ze sztywnego muślinu. Kolorowa, atłasowa wstążka ma 5 cent. szerokości.

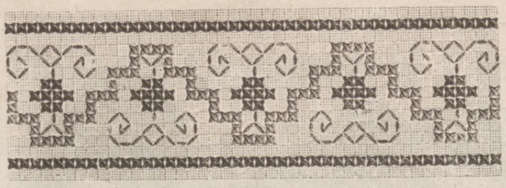
N. 34—35. Suknia z tunikowem upięciem i stanikiem formą paletocika. Krój paletocika podług formy do ryc. 27—28 w N. 23.

Wyżej wzmiankowana forma przedłużona od dołu, służyć będzie do stanika z odmiennym plastronem wstawionym z przodu i z tyłu, w sposób wskazany na ryc. 34 i 35 Tuni-

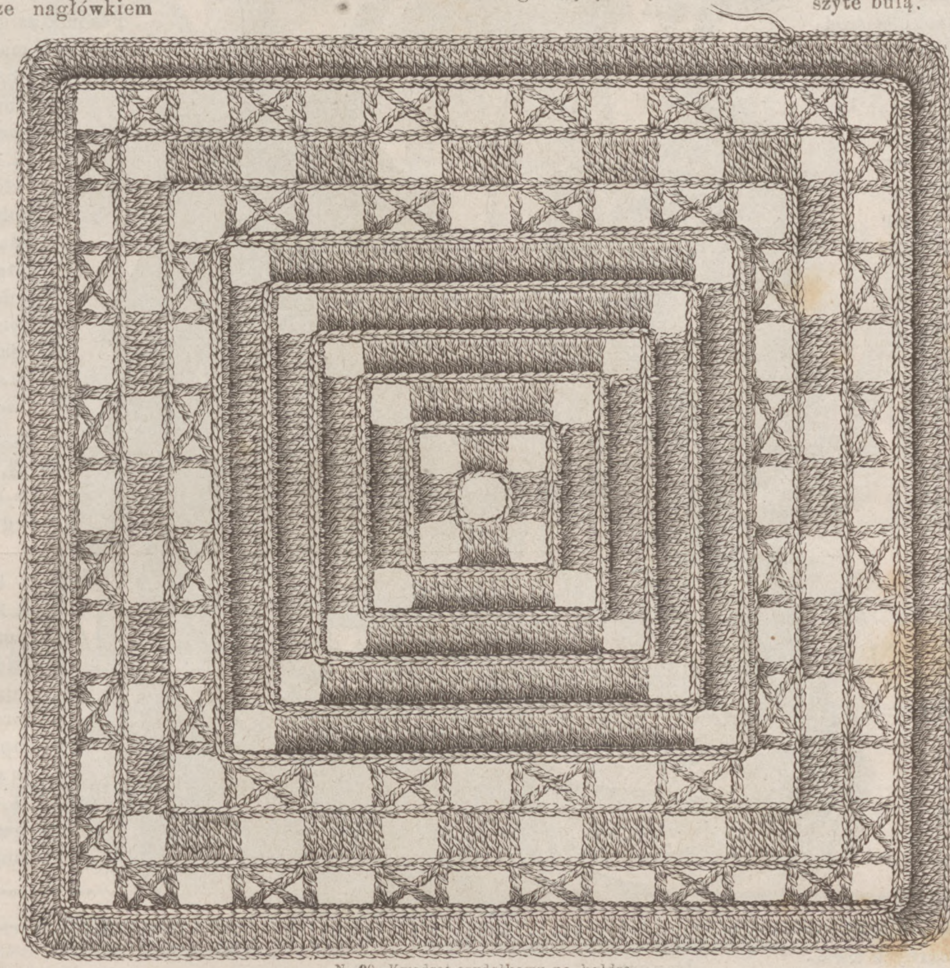


N. 26. Deseń na ścieg krzyżykowy.

ka z prostych brytów upięta na spódnicy, w górze podchodzi pod stanik z tyłu dopełnia ją bryt prosty, ułożony w szeroką kontrafałdę, a zakończony w górze nagłówkiem 10 cent. szerokim. Ryc. 34 przedstawia ubranie z materyi ciemno-bronzowej i surowego jedwabnego bastu, przybrane riuszą z bronzowej materyi i koronką koloru écru. Na ryc. 35 podajemy suknię z płótna szafirowego lub niebieskiego i écru, oszytą szeroką frendzlą macramé. Spódnica oszyta jest falbaną 14 cent. szeroką, ułożoną w kontrafałdy. Odpowiedni parasolik patrz ryc. 32.



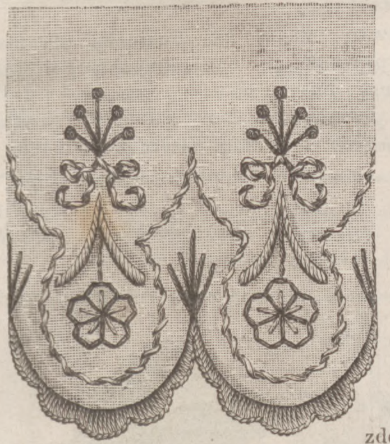
N. 28. Deseń na ścieg krzyżykowy.



N. 29. Kwadrat szydełkowy na kołdrę.

Opis do N. 26.

N. 1—15. Ubrania żałobne.



N. 30. Deseń na ścieg luźny.

N. 1. Suknia żałobna z tuniką i paletocikiem.

Spódnicę u dołu zdobi falbana plisowana 10 cent. szeroka z nagłówkiem odznaczonym pliską; na tylnym brycie sukni falbana naszyta jest dwa razy. Tunikę dopasować można podług zmniejszonego formatu kroju, jaki załącza ryc. 21, z tą tylko odmianą że bryt tylny ma brzegi naokoło oszyte plisą a u dołu nie ścięty jest w ząb szpiczasty lecz trochę zaokrąglony; krój paletocika znajdą czytelniczki na tegorocznych arkuszach dodatkowych. Plisy przy tunice i paletocie są z grubej angielskiej krepy która krajana prosto, zdaje się mieć skośne prążki.



N. 32. Deseń na ścieg luźny.

N. 2. Suknia princesse z szerokiem obłożeniem z krepy.

Gładka z długim trenem suknia princesse, zapinana na kryte haftki, ma wzdłuż przodów plastron z angielskiej krepy, od którego u dołu idzie plisa 15 cent. szeroka, naszyta brzegiem sukni. Kapelusz z płaskim zębem spadającym na czoło, i z długim woalem krepowym.

N. 3. Sukienka żałobna dla małej dziewczynki.

Plecy princesse dopełnione są fałdowaniem 22 cent. długiem a 60 szerokiem, z nagłówkiem 3 cent. szorokim. U dołu przodu i boków dane dwie falbanki przyszyte bufą.



N. 27. Deseń na na ścieg płaski.

N. 4. Kołnierz koronkowy do lekkiej żałoby.

Uszyty jest na podstawie ze sztywnego tiulu objętej z brzegów materyą w środku i w rogach 9 cent., z boków 5 cent. szerokiej. Tło zasłania czarna koronka, 4 cent. szeroka, lekko namarszczona, naszyta trzema rzędami zachodzącemi na siebie a czwarty rząd koło wykroju szyi zwrócony jest w górę; brzegi otacza na około plisowanie z białej crêpe-lisse.

N. 5—6 i 15. Kołnierz i mankiet płócienny, do lekkiej żałoby. Krój kołnierza na arkuszu do N. 5 i 6 podług ryc. 23 w N-rze 6.

Krając kołnierzyk podług powyżej wskazanej formy, nie zaokrągla go się z przodu lecz przedłuża podług ryc. 6 w rogi proste po 11 cent. długie. Mankiet prosty 25 cent. szeroki a 9 cent. długi, ma dodany wykład ścięty szpiczasto, 21 cent. szeroki, w środku $7\frac{1}{2}$ w końcach po 3 cent. długi. Za materyał służy cienkie płótno na podwójnej podszewce a przyozdobienie stanowi plisa z czarnego płótna 1 cent. szeroka, wyszyta czarnym jedwabiem podług ryc. 15 i złączona z kołnierzem kratką ażurową; drugi rząd kratki łączy pliskę z obrąbkiem płóciennym, otaczającym brzegi kołnierza i wykładu u mankieta.



N. 31. Deseń na ścieg luźny.

N. 7—8. Kołnierz i mankiet krepowy, do grubej żałoby.

Dopasowany podług formy kołnierza marynarskiego (ryc. 3 w N-rze 15) liczy z przodu 9, z tyłu 10 cent. długości; tło stanowi czarna krepa podłożona sztywnym muślinem i podszyta materyą; brzegi oszyte ośmioma wązkiemi pliskami, zachodzącemi na siebie i falbaneczką z podwójnej krepy $2\frac{1}{2}$ cent. szeroką. Mankiet kraje się z prostego kawałka



N. 33. Suknia z fałdowanym stanikiem i tuniką. Tył. N. 34. Suknia princesse z draperyą. N. 35. Suknia z fałdowanym stanikiem i tuniką. Przód. N. 36. Suknia muślinowa kwadratowo wycięta.

23 cent. szerokiego a 12 długiego, którego rogi ścina się prosto.

N. 9 i 12. Czepek krepowy.

Podstawę stanowi trójkąt sztywnego tiulu 28 cent. długi a 9 cent. wysoki w środku, do którego wkońcach przyszyte są proste paski po 12 cent. długie. Denko owalne kraje się z podwójnej krepy, złożonej skośno, zakłada gdzie niegdzie w fałdki i wszywa do paska u dołu zaś zaobrębia i nawłóczy elastyką, na wierzch denka spuszczony trójkąt, oszyty podwójną pliską i falbeneczką, którego przedni brzeg ginie pod szytem fałdowaniem z podwójnej krepy. Do twarzy dana riusza i trzy rzędy plisek.



N. 37. Sukieneczka dla małej dziewczynki. Krój na ryc. 11 do 12 w N. 18.

N. 10. Kapelusz z czarnej słomki do lekkiej żałoby.

Przybranie stanowią dwie duże kokardy z pukli krepowych i z czarnej matowej wstążki, upięte podług ryc. 10. Z prawego boku gałązka czarnych kwiatów. Rondo z przodu trochę odwinięte podszyte materyą i czarną crêpe-lisse; do wiązania służą końce po 73 cent. długie a po 22 cent. szerokie.



N. 39. Suknia princesse z draperyą.

N. 40. Chusteczka koronkowa.

N. 11. Kapelusz do grubej żałoby.

Fasonik ze sztywnego tiulu ma rondko gładko pokryte krepą lub matową grenadyną, główka zaś ułożona jest w odstające fałdy na szwie dane przewiązanie z krepy podwójnej złożonej w płaskie plisy. Do twarzy dana riusza krepowa a na czoło spada płaski ząb, jaki przed laty dawano przy czepkach wdowich.

N. 13. Żabot z czarnej grenadyny.

Ułożony ze skosu 12 cent. szerokiego, obrąbionego na prawą stronę, upiętego w trzy pukle po 7 cent. długie, przepięte węzłem, z podktórych spada koniec 20 cent. długi oszyty plisowaniem.

(Dokończenie nastąpi).



N. 38. Sukienka dla małej dziewczynki. Tył.



N. 41. Sukienka z paletocikiem dla dziewczynki.

N. 42. Sukienka z wyciętą bluzką.

N. 43. Ubranie podróżne. Krój paletota podług ryc. 20 i 27 w N. 19.

N. 44. Sukieneczka dla dwuletniej dziewczynki.

N. 45. Ubranie małego chłopczyka.

N. 46. Suknia princesse ze szmizetką.

N. 47. Płaszczyk z krótką pelerynką.

N. 48. Ubranie podróżne.